Tretiak, Jozef
Finis Poloniae

Z HISTORJI I LITERATURY

JÓZEF TRETIAK

FINIS POLONIAE!

HISTORJA LEGENDY MACIEJOWICKIEJ I JEJ ROZWIĄZANIE

KRAKÓW 1921
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ



TADEUSZ KOŚCIUSZKO

z portretu olejnego, malowanego z natury przez Cosway'a w r. 1798.

JÓZEF TRETIAK

FINIS POLONIAE!

HISTORJA LEGENDY MACIEJOWICKIEJ I JEJ ROZWIĄZANIE

KRAKÓW 1921
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Źródło legendy.

Legenda, opowiadająca, jakoby Kościuszko po klęsce pod Maciejowicami miał zawołać: *Finis Poloniae!* urodziła się bardzo prędko po bitwie maciejowickiej. Pierwszem jej źródłem drukowanem, o ile wiadomo, była urzędowa gazeta pruska: *Süd-preussische Zeitung,* która wychodziła w Poznaniu podczas powstania Kościuszkowskiego. W numerze 24 z r. 1794 podała ona wiadomość, że przyniesiony do głównej kwatery Fersena po bitwie Kościuszko miał wyrzec przy oddaniu pałasza: *Finis Poloniae!* Wiadomość tę powtórzyła zaraz dla użytku polskich czytelników *Gazeta południowo-pruska,* redagowana przez Przyjemskiego (z datą 24 października 1794)[1]. Gdzie i kiedy przybrała ta legenda nieco odmienne kształty, nie jest rzeczą dotychczas zbadaną. Wiemy tylko, że podług odmiennej od wyżej podanej wersji, Kościuszko miał zawołać: *Finis*

---

[1]) Zob. *Gazeta Narodowa* z 24 marca 1894, nr. jubileuszowy, w którym jest artykuł o *Finis Poloniae,* podpisany literą *p.* Stąd czerpię wiadomość o treści wskazanych numerów *Gazety południowo-pruskiej.* Numerów tych, pomimo usilnych starań, przy gorliwej pomocy dyr. Edw. Kuntzego, za którą mu tutaj wyrażam serdeczną wdzięczność, nie mogłem dotychczas odszukać w bibliotekach poznańskich.

Poloniae! nie przy oddawaniu pałasza zwycięzcy, ale padając ranny z konia. W tej czy innej formie, legenda miała to samo znaczenie i tę samą tendencję, a ta ostatnia wyraźnie wskazywała, skąd wyszedł pomysł i ku jakiemu zmierzał celowi. Nie można wątpić, że matką pomysłu tego była pruska polityka względem Polaków: chciano im zapomocą tej legendy wpoić przekonanie, że po upadku wodza, na którym pokładali największe nadzieje, nie mogą już roić nigdy o niepodległości; chciano przygotować niejako naród polski i świat cały do tego, co już było ukartowane, do ostatecznego rozbioru Polski, który się też dokonał w roku następnym. Legenda miała być uświęceniem tego faktu, że Polska znikała z rzędu państw niezależnych, a to uświęcenie włożone było w usta najukochańszego z wodzów i naczelnika narodu.

Różnemi, mało dostrzegalnemi drogami szerzyła się ta legenda po Europie. Korzon w swojej obszernej monografji o Kościuszce stwierdza, że już w r. 1797 pojawia się ona w Szwecji [1]). Zresztą mało na nią zwracano uwagi i głośną ona nie była, aż póki, około połowy XIX wieku, nie zaczęto z nią walczyć, pomimo całej jej, bijącej w oczy, niedorzeczności.

Toteż nowsi historycy polscy, którzy pisali o Kościuszce, niewiele mieli kłopotu z wykazaniem niedorzeczności historycznej tej legendy. Bo jeżeli przyjmiemy wersję *Gazety południowo-pruskiej,* że Kościuszko wypowiedział słowa: *Finis Poloniae,* kiedy go kozacy rannego przynieśli na noszach z pik zrobionych do naczelnego wodza rosyjskiego, Fersena, i gdy on temu ostatniemu swój pałasz wręczał, to niedorzeczność tej wersji staje się widoczną wobec stwierdzonego zgodnie przez wielu najpoważniej-

[1]) *Kościuszko,* biografja z dokumentów wysnuta przez K. Kraków. Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswylu. 1894. Str. 670.

szych naocznych świadków faktu, że przyniesiony przez kozaków do Fersena Kościuszko z rozciętą czaszką był nieprzytomny i bezmowny i nie odzyskał mowy i przytomności aż dopiero nazajutrz po nieszczęsnej bitwie, t. j. 11 października. Jednym z najświeższych i najsilniejszych dowodów tego faktu są »trzy zmięte kartki polskie« od Fiszera, adjutanta Kościuszki, razem z nim wziętego do niewoli pod Maciejowicami, pisane do jenerała Zajączka w Warszawie w dniach 11, 12 i 15 października, to jest bezpośrednio po klęsce, a przytoczone przez Askenazego w jego artykule p. t. *Głos z Maciejowic* w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1911, nr. 25. W pierwszej kartce czytamy: »O nieszczęśliwej bitwie wczorajszej już zapewne jesteś uwiadomiony WP. D. Naczelnik mocno cięty w głowę tak, że kość nadwerężona i prócz tego dwa razy spisą pchnięty«. A w drugiej, z 12 października, mamy jeszcze ważniejszą dla oceny legendy wiadomość: »Naczelnik przecie wczoraj znowu zaczął mówić. Rany jego odjęły mu były zupełnie przytomność« [1]). Jeżeli zaś zwrócimy się do drugiej wersji, którą skodyfikował Georg Weber w swoim *Lehrbuch der Weltgeschichte* (II. Band, Leipzig 1870, str. 357), a podług której Kościuszko miał zawołać: *Finis Po-*

---

[1]) Prof. Askenazy powiada przy tej sposobności, że należy stosownie do powyższych wiadomości, podanych przez Fiszera, sprostować odpowiednie szczegóły dotyczące Kościuszki w *Notes sur ma captivité* Niemcewicza i jego *Pamiętnikach.* Ale właściwie pewna drobna niezgodność z kartkami Fiszera u Niemcewicza jest tylko w *Notes,* gdzie powiedziano: »Il (Kościuszko) avait une large blessure de sabre à la tête et t r o i s coups de pique dans le dos, audessus des reins« (str. 23). W *Pamiętnikach czasów moich* (str. 226) jest mowa zgodnie z Fiszerem tylko o d w ó c h pchnięciach dzidą: »Kościuszko odniósł głębokie cięcie w głowę i dwie rany od dzidy powyżej bioder«. Co się tyczy odzyskania przytomności przez Kościuszkę dopiero nazajutrz po bitwie, w tem oba źródła Niemcewiczowskie zgodne są zupełnie z kartkami Fiszera.

loniae! padając ranny z konia, to, gdyby nawet przypuścić, że Kościuszko wbrew swojej naturze, tak niesklonnej do głośnych monologów, wydał ten okrzyk łaciński, jeszczeby niedorzeczność nie była mniejsza, bo ci, którzy go słyszeć mogli, to jest ścigający go kozacy, ani zrozumieć, ani powtórzyćby tego okrzyku nie potrafili.

Wspomniałem już, że w pierwszych latach po ukuciu tendencyjnej legendy nie zwracano na nią uwagi. Nie było racji zajmować się tą plotką i zbijać ją wobec szeregu dzieł poważnych, pisanych tak przez Polaków, jak i obcych, tak po niemiecku, jak po francusku, które szczegółowo podawały przebieg powstania Kościuszki, jak Wojdy (anonimowy): *Versuch einer Geschichte der letzten polnischen Revolution vom Jahr 1794* (Zürich 1796); Zajączka: *Histoire de la revolution de la Pologne en 1794 par un témoin oculaire* (Paris 1797); J. G. Seume'go: *Nachrichten über die Vorfälle in Polen 1794* (Lipsk 1796); *Der polnische Insurrektions-Krieg im J. 1794, von einem Augenzeugen dem Feldmarschall Möllendorf gewidmet* (Berlin 1796); wreszcie trzechtomowego dzieła Ségura, dającego obraz polityczny Europy od 1786 do 1796, które miało kilka wydań bardzo prędko po sobie następujących[1]. W żadnem z tych dzieł, niekiedy bardzo szczegółowych, nie było żadnej wzmianki o *Finis Poloniae*, o rzekomym wykrzykniku Kościuszki. Wroga dla Polski legenda nie wysuwała się na światło dzienne historji, czekając na lepsze dla siebie czasy, kiedy w mroku oddalenia historycznego

---

[1]) *Histoire des principaux évenements du règne de F. Guillaume II, roi de Prusse et tableau politique de l'Europe depuis 1786 jusqu'en 1796, ou l'an 4 de la République, contenant un précis de revolutions de Brabant, de Hollande, de Pologne et de France — par L. P Ségur l'aîné, ex-Ambassadeur, à Paris 1800.* Drugie wydanie ukazało się w r. 1801, trzecie w 1803--1810, czwarte pod tytułem *Décade historique* także w Paryżu, w r. 1824.

będzie mogła nabrać więcej prawdopodobieństwa i śmiałości. Dlatego to przez dlugie lata, do śmierci i po śmierci Kościuszki (1817), nie uważano za rzecz potrzebną wyciągać ją z ukrycia i zbijać. W jednym tylko fakcie z lat najbliższych urodzeniu się legendy można upatrywać chęć jej odparcia, a w szczególności chęć odparcia tendencji w niej zawartej. Mianowicie wyrazy: »Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy«, od których się zaczyna nieśmiertelny mazurek Dąbrowskiego, wyglądają tak, jak gdyby wywołane były słowami legendy maciejowickiej, jak gdyby były odruchowem jej odparciem. Pieśń ta, jak wiadomo, napisana była latem 1797, właśnie wtedy, kiedy legenda o *Finis Poloniae* zaczęła się milczkiem rozpełzać po Europie. Że o uszy autora pieśni, Wybickiego, obiła się ta legenda, zanim on swoją pieśń utworzył, to rzecz, zdaje się, niewątpliwa. A jeżeli tak było, jeżeli nasz przeszło stuletni hymn narodowy zostaje w związku genetycznym z legendą maciejowicką, to tem większego nabiera dla nas znaczenia, tem droższym się nam staje. Na sfałszowany przez Prusaków okrzyk: »Polska się skończyła!« wybuchnęły legjony żywiołowo okrzykiem: »Jeszcze Polska nie zginęła!« [1]). Na wrogą legendę odpowiedział ustami Wybickiego cały naród w swoich najdzielniejszych, duchem Kościuszkowskim przejętych przedstawicielach, a, co ważniejsza, słowom pieśni towarzyszyły czyny, które przyczyniły się do upadku potęgi pruskiej, do rezultatów bitwy pod Jena.

Wobec takiej odpowiedzi nie warto było polemizować z legendą maciejowicką i protestować przeciw niej.

---

[1]) Już Juljusz Michelet w swojej książeczce: *Pologne et Russie, légende de Kosciusko* (Paris 1852) widzi w pieśni legjonów »le sublime démenti que nos légions polonaises donnèrent au mensonge des Russes: *Finis Poloniae*« (str. 95). Michelet źródło legendy upatrywał w Rosji.

Toteż ani myślano o tem i prawie przez całe pół wieku zostawiano ją w pokoju, jako rzecz bez znaczenia i nieszkodliwą.

II.

Słowacki i Mickiewicz wobec Kościuszki.

Jakże to się stało, że po wielu latach legenda odezwała się znowu i to głośniej niż przedtem, obudziła zaniepokojenie w duszach polskich i pobudziła do żywych protestów, ba, co gorzej, do fałszerstw patrjotycznych? Wstępujemy na grunt faktów nieznanych, to jest ukrytych dotychchczas przed okiem krytyki historycznej i literackiej, i tu zgóry możemy powiedzieć, że powodem do tego rozjarzenia się przygasłej legendy stała się nasza poezja w jednym ze swoich najznakomitszych przedstawicieli i jednym z najsłynniejszych swoich utworów. Tym poetą był Juljusz Słowacki, tym poematem *Beniowski*.

W tym poemacie, jak wiadomo, awanturnicza powieść z czasów konfederacji barskiej jest nieustannie przeplatana rozmaitemi lirycznemi wynurzeniami poety a przedewszystkiem namiętnemi wycieczkami jego przeciwko wszystkim, którzy nie chcieli uznać jego sławy, takiej, do jakiej on sobie rościł prawo, to jest przynajmniej równej sławie Mickiewicza. Była to wielka bitwa o sławę, za zachętą Krasińskiego, który uznawał wielkość poetycką Słowackiego, wydana światu, temu światu, dla którego poezja jego mogła być dostępną, to jest emigracji polskiej. W tej walce wspierał go wrodzony jego pesymizm w stosunku do własnego narodu, tak słusznie uwydatniony przez Józefa Ujejskiego w jego rozprawach o *Kordjanie* i *Anhellim*, a tak biegunowo przeciwny optymizmowi Mickiewicza,

szczególnie jako autora *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego*. I ten pesymizm i niepohamowana, niecierpliwa przez długi szereg lat niezaspokojona żądza sławy, złożyły się na szyderczy, w pogardliwym tonie nakreślony obraz emigracji, w którym ze wszystkich jej głównych przedstawicieli jedna tylko postać, księcia Adama Czartoryskiego, wyjęta była z ogólnego potępienia (podobnie jak w *Kordjanie* w ustępie p. t. *Przygotowanie)* i otoczona sympatją poety. Powiedziawszy, że nawet djabeł nie dba o pozyskanie emigracji, »i żadną serca żądzą już nie łechce«, tak pisał dalej:

Ambicja serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy,
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła:
Jakie pryncypja ma?... A księżyc z miny
Arystokratą nazwie i dlatego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

Pryncypja... O pryncypja! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna...
. . . .

Więc polityczne moje Falanstery
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiej, jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka, śmiech mię bierze.

I po takiem przygotowaniu rzucał Słowacki strofę, która obrażać mogła uczucia ogółu emigracji, ale w szcze-

gólności dotykała środkowego jej stronnictwa, Lelewelowskiego, do którego zaliczani byli i wodzowie z ostatniego powstania.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidjasza!
Żeby też jedną pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka... śmiech mię zbiera.

Tak więc Słowacki w swoim polemicznym poemacie podejmował zapomnianą legendę o *Finis Poloniae,* podejmował bez wszelkich zastrzeżeń, jako fakt pewny i niezbity, i używał jej, jako pocisku na współczesne pokolenie, dogadzając tem i swemu pesymizmowi i swoim osobistym żalom do tego pokolenia. Ponieważ ten poemat w swoich pierwszych pieśniach, t. j. o ile został wydany przez samego poetę (1841), kończy się sławnem uderzeniem na Mickiewicza i cały dyszy antagonizmem względem wielkiego poprzednika, uważam za stosowne zastanowić się pokrótce nad pytaniem, jaki był stosunek dwu tych naczelnych poetów naszych do Kościuszki, jak się ta postać zarysowała w poezji i wogóle w poglądach jednego i drugiego.

Mickiewicz był wielu węzłami związany z tradycją Kościuszkowską, wychowywał się w atmosferze pełnej czci dla Naczelnika narodu. Wiemy z pamiętników jego starszego brata, Franciszka, że ojciec poety brał jakiś udział w powstaniu Kościuszki [1]), wiemy skądinąd, że Kontrym, protektor Zana, zostający w bliskich stosunkach z mło-

---

[1]) Wład. Mickiewicz: *Żywot A. M.* I, str. 4—5.

dzieżą wileńską, był żołnierzem Kościuszkowskim. Wiemy, z jaką siłą żywiołową wybuchła na Litwie a w szczególności w Wilnie cześć dla Kościuszki, kiedy nadeszła wieść o jego śmierci, i jakie olbrzymie wrażenie sprawiały obchody żałobne na cześć bohatera narodowego, urządzane przez wszystkie prawie stany i wyznania pod koniec 1817 r. O sile tego wrażenia świadczy najlepiej to, co pisał młody profesor wileński, Lelewel, do domu o współubieganiu się i łączeniu wszystkich wyznań w objawach czci dla Kościuszki: »przykładu podobnego na świecie nie było, w Polsce naprzód się jawi«. Wiemy, że zawiązane na parę miesięcy przed temi obchodami Towarzystwo Filomatów, którego jednym z głównych założycieli był Mickiewicz, pierwotnie miało na celu tylko »sztukę pisania« i »udzielanie wzajemnej w naukach pomocy«, a bardzo niedługo po owych obchodach, w r. 1818, zreorganizowało się w taki sposób, że celem jego już było przedewszystkiem »doskonalenie się własne«, szerzenie oświaty, a główną zasadą »poświęcenie się zupełne dobru ogólnemu«, i mamy prawo przypuszczać, że do tej szybkiej zmiany w celach i zasadach Filomatów przyczyniły się niemało ówczesne objawy czci dla Kościuszki, owe obchody żałobne, owe mowy, wypowiadane przy tej sposobności, w których znajdowały się nieraz wskazówki dla młodzieży, aby w zmarłym bohaterze szukała dla siebie wzoru, a które zostały zebrane razem i wydane w Wilnie 1818 r. [1]). Że na ten wzór mieli ciągle zwrócone oczy najbliżsi przyjaciele Mickiewicza, Filomaci, świadczy o tem piosenka ułożona przez Czeczota a przez nich śpiewana, gdzie były takie wiersze:

---

[1]) *Zbiór mów w różnych miejscach mianych oraz opisów obchodów żałobnego nabożeństwa po zgonie ś. p. Tad. Kościuszki.* Porówn. mój artykuł w *Czasie* z d. 4 lipca 1890 p. t. *Mickiewicz i Kościuszko.*

O Kościuszko, piękny wzorze,
Jako ojczyznę miłować!
W każdej życia swego porze
Pragniemy cię naśladować.
Szczerze ojczyznę kochamy,
Dla niej tylko oddychamy i t. d. [1]).

Tą czcią dla Kościuszki napojona była dusza Mickiewicza, co się uwydatniło i w jego wielkiej epopei i w niektórych artykułach politycznych i w wykładach paryskich. Sam tytuł epopei, *Pan Tadeusz*, zostawał z tą czcią w ścisłym związku, boć przecież bohater poematu na cześć bohatera narodu miał sobie nadane imię, ale i poza tem są różne wzmianki w poemacie, o tej czci świadczące, a już na samym wstępie powieści, w obrazie wnętrza dworu Soplicowskiego, znajdujemy na pierwszem miejscu portret Naczelnika:

Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie...

W artykule *O ludziach rozsądnych i szalonych*, drukowanym w *Pielgrzymie polskim* z r. 1833, przeciwstawiał Kościuszkę Stanisławowi Augustowi, jako typ człowieka głęboko czującego, rozumiejącego instynktem potrzeby narodu i gotowego poświęcić wszystko dla ojczyzny, typowi polityka rozsądnego, ale pozbawionego iskry zapału i poświęcenia. Wiemy wreszcie, że zamierzał wprowadzić Kościuszkę do dalszych części *Dziadów*, a to w opowiadaniu starego konfederata barskiego, »który w zamku

---

[1]) Zob. moją książkę: *Mickiewicz w świetle nowych źródeł* (1815—1821). W Krakowie 1917, str. 76.

petersburskim przesiedziawszy całe życie, doczekał roku 1825 i opowiada nowym towarzyszom więzienie Kościuszki i Niemcewicza« [1]). W wykładach literatury słowiańskiej (II, 181—183) zestawiał Kościuszkę z Piastem, jako symbole odrodzenia narodowego, a jak w *Panu Tadeuszu*, tak i tutaj akcentował prostotę, jako cechę charakterystyczną człowieka, który stawał się ideałem nowego odrodzenia narodu.

Tych węzłów, które łączyły duszę Mickiewicza z postacią Kościuszki nie było w Słowackim. Wychowany w domu kosmopolitycznie nastrojonego doktora Bécu, w dali od wpływów filareckich a pod silnym wpływem bajronizującej Ludwiki Śniadeckiej, z tradycją Kościuszkowską w pierwszej młodości mało się zapewne spotykał, a już z natury swojej, do blasku zewnętrznego ciągnącej, nie mógł mieć poczucia dla tego, co stanowiło wielkość moralną nowego ideału narodowego. W jego listach do matki, gdzie jest tyle reminiscencyj z lat dziecinnych i młodzieńczych, jest raz tylko wzmianka o Kościuszce, wywołana opowiadaniem panny Pattey w Genewie o koniu Kościuszki, który tak był przyzwyczajony przez swego właściciela do zatrzymywania się przed każdym żebrakiem, że i po śmierci jego nie mógł się od tego odzwyczaić. Wzmianka ta wprawdzie wywołuje w poecie pobożne westchnienie: »O Matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem...« [2]), ale dość przypomnieć sobie, że pisana była w czasie wydawania *Lambra*, kiedy poeta do najwyższego stopnia zahipnotyzowany był poezją Bajrona, ażeby niewiele wagi przywiązywać do tego westchnienia. Nic w prawdziwej historji Kościuszki nie było tego blasku zewnętrznego, teatralnego, jakiego pożądała wyobraźnia

---

[1]) *Korespondencja Ad. Mickiewicza*. Lwów 1880, II, str. 188.
[2]) *Listy Juljusza Słowackiego*. Lwów 1899, t. I, str. 177.

Słowackiego. Ten blask, ta teatralność znalazła się tylko w legendzie maciejowickiej, której pochodzenia poeta naturalnie nie podejrzewał, i z niej to, — nie z prawdy historycznej, — chwycił jedyny motyw, dotyczący Kościuszki, który wprowadził do swej poezji — owo *Finis Poloniae!* Poza tym szczegółem, użytym zresztą do celów polemicznych, postać Kościuszki w poezji Słowackiego prawie nie istnieje. Jest wprawdzie w *Piaście Dantyszku* wzmianka o mogile Kościuszki, użytej do pewnego porównania razem z mogiłą Wandy, jest w *Wacławie* kilkunastowierszowy ustęp o Kościuszce, a nawet fantastyczny epizod z bitwy »pod Maciejowicą«, ale tu postać bohatera narodowego użytą jest tylko jako środek artystyczny dla kontrastu z postacią bohatera poematu, którym jest zdrajca rozpaczający, Szczęsny Potocki, w bengalskiem oświetleniu bajrońsko-dantejskiem. Nie rzucał wprawdzie Słowacki nigdzie na postać Kościuszki cienia, nie dotykał jej nigdzie ironją jak postać księcia Józefa lub Wybickiego, była ona dlań, szanowną, ale artystycznie obojętną, t. j. nieinteresującą, nie miała w sobie nic kongenjalnego, nic pokrewnego duchowi poety, nie mógł w nią nic z siebie włożyć, jak wkładał później w postaci Samuela Zborowskiego lub Zawiszy Czarnego.

Ukazanie się *Beniowskiego* na wiosnę 1841 było nadzwyczajnym wypadkiem w życiu emigracji polskiej w Paryżu. Epicka strona poematu świetnością kolorytu zjednywała mu uznanie nawet między niechętnymi dotychczas Słowackiemu czytelnikami jego, mnóstwo aluzyj do wewnętrznych stosunków emigracyjnych, do walk koteryjnych i do haseł zasadniczych emigracji, wszystko to budziło wielkie zainteresowanie, a najwięcej budził zajęcia, zwłaszcza że miał podkład ideowy, szalony atak końcowy Słowackiego na Mickiewicza. Wszystkie główne organy emigracji, *Dziennik narodowy*, *Demokrata polski* i *Trzeci*

maj, organ stronnictwa dynastycznego, wystąpiły z długiemi recenzjami, kierując się przy ocenie swojemi zasadami religijnemi i politycznemi i sympatjami koteryjnemi [1], ale ich autorowie, mając rozstrzeloną uwagę na mnóstwo szczegółów poetyckiej polemiki Słowackiego, zajęci przedewszystkiem tem, co w taki lub w inny sposób dotykało ich stronnictw, przeoczyli szczegół, przeciw któremu ze stanowiska ogólno-narodowego powinni byli wszyscy zaprotestować, to jest ów rzekomy wykrzyk Kościuszki pod Maciejowicami. Do tego przeoczenia przyczyniło się zapewne niemało i to, że stronnictwo środkowe emigracji, do którego należał Lelewel i rozmaite inne figury sejmowe, wreszcie jenerałowie z powstania 1831 r., stronnictwo, przeciw któremu głównie była wymierzona wzmianka o Polsce skończonej, nie miało swojego organu w centrum emigracji, w Paryżu, nie wystąpiło z recenzją o *Beniowskim* i stąd nie zajęło żadnego stanowiska wobec niego. Wreszcie należy zanotować, że w tej samej chwili, kiedy się ukazywał *Beniowski*, w końcu maja 1841, schodził do grobu najbliższy z towarzyszy Kościuszki w bitwie maciejowickiej, ten, ktory był świadkiem, jak go nieprzytomnego przyniesiono z pola bitwy i który mógł najlepiej ocenić fałszywość legendy, przez Słowackiego wplątanej do poematu.

III.

Stefan Witwicki o Kościuszce.

Stało się tedy, że legenda o *Finis Poloniae*, ukuta przez Prusaków bezpośrednio po klęsce maciejowickiej,

---

[1]) Zob. moją monografję: *Juljusz Słowacki. Historja ducha poety i jej odbicie w poezji.* Kraków 1904, t. I, str. 323—335.

potem słabo wegetująca, wreszcie zagrzebana w niepamięci, odżyła na nowo w poemacie, który stał się sławnym, i wystąpiła przed oczy całej emigracji, a ponieważ narazie nikt jej nie odparł, nabierała — w przekonaniu publicznem pokolenia, dalekiego od czasów, do których się odnosiła — pozorów historycznego faktu.

Że tak było, za dowód może służyć artykuł Stefana Witwickiego p. t. *O panach i możniejszej szlachcie*, w drugim tomie jego *Wieczorów Pielgrzyma*, wydanym w rok po ukazaniu się *Beniowskiego*, w Paryżu 1842. Było w tym tomie dalsze rozwinięcie myśli, wypowiedzianych już w pierwszym, który wyszedł był w r. 1837 (także w Paryżu), na cztery lata przed *Beniowskim*. W tym pierwszym tomie nie było jeszcze mowy o Kościuszce. W artykule *O wieku Stanisława Augusta* cała uwaga autora zwrócona była na króla i na wykazanie, jak brakło mu tej siły, która jedynie zdolna była uchronić go od zbrodni i hańby, a narodowi przynieść ocalenie. »Inne narody, pisał Witwicki (str. 328), byt swój prowadzą i utrzymują przez przemysł i handel; inne przez mądrą i dzielną administrację; inne jeszcze przez wojskową potęgę i zdobywcze zabory. Są to wprawdzie siły materjalne tylko i nie stanowią prawdziwego ludów życia, gdy się nie podpierają mocą duchową; atoli mogą być wielkie, obronne i nie dać się łatwo obalić. Polska z tego wszystkiego nic nigdy nie miała; czemże tedy żyła? Nie widząc w niej żadnej siły wystąpionej, dotykalnej, naocznej, owszem, w braku wszystkiego, co jest gdzieindziej, myślano (dziwne omamienie!), że stoi nierządem. ...Nie nierządem ona stała, broniła się i żyła przez wieki; ale siłą niewidomą, niecielesną, siłą uczucia, której nawet największy nierząd materjalny nie zabijał, a której ustawiczną krynicą była Religja! Stąd szła gotowość poświęcenia się, stąd zapał ku wszystkiemu, co wzniosłe, stąd nad wszystkiem góro-

wanie powinności; potęgi olbrzymie, urocze, żadnym gwałtem ziemskim przemóc się nie mogące. Przy nich naród, nie mając nic na oko, miał w gruncie wszystko... i jednem tchnieniem mógł się ubrać w moc, jak drzewo w liście. Tem to życiem Polska długie wieki i straszliwe burze przetrwała«... A jakże było, zapytuje Witwicki, w wieku Stanisława Augusta, gdy zagroziła ostateczna zagłada? »Zamiast do wiary, udano się do filozofji; nie do ołtarzy, lecz do bibljotek; nie do modlitwy, lecz do krasomowstwa i iskrę życia myślano zdobyć w prochu ziemi«. Ale to, na co król liczył: »filozofja, liberalizm, punkthonor, mądrość ludzka, zatrzymałyż go od zbrodni i hańby? O! nie! Uległy losowi. Tylko Religja, tylko jedna Religja byłaby go do nich nie dopuściła: bo ona jedna nie układa się z losem i ona jedna zna męczeństwo, lecz nie przyjmuje niewiary i odstępstwa« (str. 332).

Przytoczony ustęp doskonale charakteryzuje ideały narodowe i stanowisko zasadnicze Witwickiego. Wspomniałem już, że w artykule, o którym mowa, nie było wzmianki o Kościuszce, pomimo, iż Kościuszko należał do wieku Stanisława Augusta, pomimo, iż w tragicznem jego zakończeniu tak wielką odegrał rolę. Postać bohatera z pod Racławic, tak ukochanego przez naród, była niepotrzebna autorowi do jego głównego celu, jakim było napiętnować wiek Stanisława Augusta, jako okres upadku religji, i temu upadkowi przypisać upadek polityczny narodu. Ale kiedy w r. 1842 wydawał tom drugi *Wieczorów*, sytuacja jego była inna: znał już *Beniowskiego* i to znał zapewne bardzo dobrze, nietylko dlatego, że były tam szyderstwa imiennie do niego zwrócone [1]), ale

[1]) ...panna Prakseda

. . . .

Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem dała mi w sam łeb — Witwickim.

i dlatego, że go musiała mocno interesować walka, którą w tym poemacie wytaczał Słowacki — coprawda pod adresem *Młodej Polski!* — katolicyzmowi w Polsce («Krzyż twym Papieżem jest... twa zguba w Rzymie»). Przy czytaniu tego poematu uderzył niewątpliwie jego uwagę szczegół dotyczący Kościuszki, a ponieważ rzucony był z wielkim rozmachem, a przez nikogo nie odparty, ponieważ o pochodzeniu legendy maciejowickiej, podobnie jak Słowacki, nie miał i Witwicki, jak się zdaje, najmniejszego wyobrażenia, wziął ją za dobrą monetę i znalazłszy w drugim tomie *Wieczorów* sposobność rozwinięcia uwag zawartych w pierwszym, w artykule *O wieku Stanisława Augusta*, wciągnął do nich tym razem i postać Kościuszki wraz z legendą o *Finis Poloniae* i użył jej jako argumentu do poparcia swej tezy, podobnie jak to uczynił był Słowacki, tylko w innym kierunku.

W notach do artykułu *O panach i możniejszej szlachcie*, w którym karcił niedbalstwo polskie i dawał szlachcie różne mądre i pięknie wypowiedziane wskazówki i zachęty, jest mowa o ważności życia wiejskiego w Polsce i wyższości jego nad miejskiem. «Kto wie, pisał, czy dotychczasowe powstania i nie dlatego także upadały, że się poczynały w mieście, nie na wsi. Przychodzi mi niekiedy przez myśl, iż powstanie, co ma nakoniec wyrwać ojczyznę z niewoli, nie na bruku się podniesie, nie między jedną kamienicą, jedną rogatką a drugą: ale stanie na polu i pójdzie w przestrzeń, jak są długie i nieprzejrzane łany nasze, jak są szerokie i niezdobyte lasy nasze, bory i puszcze. Miasto, do którego powstanie przywiązane, raz wzięte, już wszystko stracone; powstanie wiejskie, choć pokonane lub przeszkodzone w jednym punkcie, zmienia tylko miejsce i, pokąd ludzi i serca w nich, ma wszystko, czego mu trzeba... Ale powstanie miejskie jest tysiąc razy łatwiejsze: wiejskie wymaga bez

żadnego porównania potężniejszej siły moralnej! Jedno może zrobić garstka spiskowych, do drugiego potrzeba całego narodu. Tamto może się zrodzić z momentalnego nawet wzruszenia: jedna jakaś, czasem mała, okoliczność, jedna książka, jeden dziennik zdoła je niekiedy wywołać; do tego potrzeba uczucia, powszechnie i głęboko w narodzie zagnieżdżonego, uczucia religijnego we wszystkich duszach! (Jakieś podobieństwo powstania wiejskiego było już w Konfederacji barskiej.) — Uczucie to szczególnie powinno być mocnem, być uczuciem panującem i wszystkie inne pochłaniającem u stojących na czele, a najbardziej u tego, kto będzie głową i sercem, kto najwyższym przewódzcą. Mam przekonanie, przekonanie na całej przeszłości narodu i na znajomości, jak mi się zdaje, charakteru, natury i wszystkich sił jego oparte, że taki tylko mąż, mówię mąż religijny, religijny z szczerością i prostotą, zbawi Polskę (t. I, str. 328). Kościuszko, który miał rzadkie przymioty Naczelnika, tego jednego nie miał i w skutku nic nie miał, nie mógł mieć. Uczeń i towarzysz Waszyngtona i Franklina, ślepą, nieograniczoną ufność w Opatrzności, wiarę w możność wszystkiego przy sprawiedliwości, zapał młodzieńca, dziecka — (duszę Polaka), chciał zastąpić przewidywaniem i determinacją ludzką, rozumem starego człowieka, pilnością osadnika i kupca amerykańskiego, bardzo wprawdzie zacnego i uczciwego, lecz przedewszystkiem lękającego się bankructwa i ruiny — (duszą obywatela Stanów Zjednoczonych): — i pokazało się, niestety! że mimo cnót i najszanowniejszych przymiotów, a między temi szczególniej w nim uwielbiam szlachetny i wielkiego znaczenia przymiot prostoty i skromności obyczajów, nie był jednak mężem, jakiego wówczas ojczyzna Czarneckich i Sobieskich potrzebowała. Główną naprzykład rzeczą działań wojennych Kościuszki było okopać się i zgotować sobie obronę za szańcami.

Nie miał wiary na początku i całkiem niechętnie i prawie z musu (wiem ten szczegół od jego spółtowarzyszów i spółdowódzców) powstanie zaczynał; nie miał wiary na końcu i wykrzyknął pod Maciejowicami, że już Polska na wieki stracona« [1]).

Nie będę tu roztrząsał sądów Witwickiego o Kościuszce, wykazywał, o ile się na błędnych przesłankach opierają, bo nie o to tu chodzi. Zostawiam to na później, do osobnego studjum o charakterze i roli tego bohatera w dziejach Polski. Tutaj zwracam uwagę tylko na to, co jest niezbędne dla poznania historji legendy, t. j. że książka Witwickiego, przeznaczona dla szerokich kół polskich patrjotycznych i przeważnie konserwatywnych, zamiast odeprzeć legendę odświeżoną przez Słowackiego, przyczyniła się swemi uwagami, wyżej przytoczonemi, do jej utrwalenia i rozpowszechnienia.

IV.

Franciszek Paszkowski w obronie Kościuszki.

Niemile musiało to razić tych wszystkich czcicieli Kościuszki, którzy znali go niegdyś osobiście, zbliska, mieli sposobność dobrze poznać jego charakter, jego koleje życia i o przebiegu bitwy maciejowickiej mieli mniej więcej dokładne wyobrażenie. Jednym z takich był dawny jenerał wojsk polskich, Franciszek Paszkowski. Wprawdzie w powstaniu Kościuszkowskiem udziału nie brał, miał wtedy dopiero lat 16, ale niedługo potem uszedł do Włoch, gdzie wstąpił do wojska francuskiego i jako kapitan francuski, przybywszy w r. 1801 do Paryża, zaznajomił się z przebywającym w Berville pod Paryżem po powrocie z Ame-

---

([1] *Wieczory Pielgrzyma,* T. II, Paryż 1842, str. 30=33.

ryki Kościuszką i wkrótce pozyskał sobie jego szczególną sympatję, która trwała aż do zgonu Naczelnika i objawiła się pewnym legatem pieniężnym dla jenerała Paszkowskiego w testamencie Naczelnika. Otóż Paszkowski, który przez całe życie zbierał materjały do żywota Kościuszki i który napisał sporą książkę p. t. *Dzieje Tadeusza Kościuszki, pierwszego Naczelnika narodu*, wydaną z nakazu autora dopiero pośmiertnie (w Krakowie 1872), przeczytawszy w *Wieczorach* Witwickiego ustęp o Kościuszce z legendą o *Finis Poloniae*, był mocno uwagami Witwickiego zgorszony i, dopisując w r. 1850 noty do gotowego już swego dzieła, tak pisał o legendzie maciejowickiej: «Że wieść tę za rzeczywistość u Niemców przyjęto, ażeby ją na swoją korzyść obracać, to się pojmuje; ale że my sami Polacy, mimo głębokiego wstrętu, dotąd ją bez żadnej wątpliwości i krytycznego badania za prawdziwą przypuszczamy: — i to się pojmie, jeżeli się uważy naszą odwieczną, zapamiętałą, marnotrawną bezkorzystność. Ile ta wieść jest wątpliwa i w sobie samej niedorzeczna, czas już dla przyszłego historyka wyświecić. Prawdziwe wydarzenia w upadku i pojmaniu Kościuszki były następujące: Gdy w końcu bitwy jazda polska na lewem skrzydle przed jazdą nieprzyjacielską pierzchnęła, Kościuszko, chcąc ją zwrócić i na skrzydło nieprzyjaciela ponieść, sam za nią poleciał i, sadząc przez rów, z koniem upadł, dopadli go w tej chwili kozacy i ranili pikami, a dobiegający karabinier cięciem w głowę pozbawił go zmysłów. — Generał moskiewski, Tołstoj, który znał dawniej Kościuszkę w Warszawie, poznał go tu leżącego, obnażonego i krwią zbroczonego, kiedy po bitwie przechodząc się po polu, ujrzał kupę żołnierzy, przypatrujących się mu, dla wieści, że to on był. Doświadczano zatem rozmaicie, czy jeszcze żyje, aż, na przeraźliwe mu krzyczenie w uszy, otworzył usta; zaczem Tołstoj kazał go, okrywszy, zanieść do dworu

w Maciejowicach. Pytania więc z tego same się nasuwają; czyli w takowem wydarzeniu był czas, pochop, pora do podobnego teatralnego zawołania? Czyli kozacy i karabinier, jedyni bliżsi widze tej sceny, słyszeli, zrozumieli, spamiętali i odnieśli słowo tego zawołania? Już tu fizyczne niepodobieństwo jest jawne; ale może jeszcze większe okaże się niepodobieństwo moralne, w prostocie, skromności i wyrozumieniu swojej rzeczy Kościuszki; bo podobne w takim razie zawołanie nie mogłoby było być [jak] tylko skutkiem poprzedniego w nim głębokiego i długiego o sobie samym zarozumienia; a Witwicki sam zarzuca mu, że (co prawda) nie ufając środkom, niechętny się rzeczy podejmował; przez co jednak, podjąwszy się, dowodził, że tem chętniej całego siebie poświęcił. Wieść więc ta wydaje się cale zmyśloną!«...[1])

Paszkowski, karcąc Witwickiego za powtarzanie legendy maciejowickiej bez jej odparcia, za wkładanie mu w usta wykrzyku: *Finis Poloniae!*, który mu ta legenda podsuwała, nie podejrzewał wcale, co Witwickiego upoważniło i skłoniło do wprowadzenia tej legendy do swoich uwag i przyjęcia jej za fakt historyczny. Paszkowski widocznie nie znał *Beniowskiego*, bo gdyby go był znał, sądzę, nie omieszkałby wystąpić w swoich notach także i przeciw Słowackiemu, którego echem tylko w tym razie był Witwicki. Nie znał *Beniowskiego*, choć w tym poemacie była i jemu, Paszkowskiemu, jako autorowi bezimiennemu, poświęcona pewna strofa, a raczej dwie strofy ironiczno-polemiczne (w pieśni III). A jakżeby się zadziwił i zasmucił, gdyby mu ktoś wyjawił przypuszczenie wcale nie pozbawione prawdopodobieństwa, że to on w pewnej mierze pobudził Słowackiego do odświeżenia legendy o *Finis Poloniae* w *Beniowskim*, a tem samem

[1]) *Dzieje Tadeusza Kościuszki*, str. 257—8.

przyczynił się także do wprowadzenia jej w tomie drugim *Wieczorów Pielgrzyma* Witwickiego.

Szczegół to podrzędny, ale że należy do historji legendy, trzeba go objaśnić. Paszkowski oprócz *Dziejów Tadeusza Kościuszki*, wydanych pośmiertnie, był autorem jeszcze innej książki, którą sam wydał bezimiennie p. t. *Pomysły do dziejów Polski* (w Paryżu 1840). Schowawszy po wojnach napoleońskich oręż do pochwy i oddawszy się zajęciom rolniczym, rozmyślał w chwilach swobodnych od tych zajęć nad dziejami ludzkości, a przedewszystkiem swego narodu, i owoc swoich rozmyślań złożył w owych *Pomysłach*. Był to, jak można wnosić z pism jego, charakter prawy, szlachetny, bezinteresowny, a przytem trochę zgryźliwy; umysł oryginalnie myślący, któremu nie brak było i oczytania w rzeczach poważnych, ale pozbawiony w wysokim stopniu zdolności jasnego wypowiadania i wiązania swoich myśli. Romantyzmu w nim nie było ani odrobiny; jego ulubionym poetą był Krasicki, jego nieraz cytuje, z niego też wziął epigraf do swojej książki:

Płodzie, szanownych ojców noszący nazwiska,
Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ściska,
Sameś sprawcą twych losów. Zdrożne obyczaje,
Krnąbrność, duma, rozpusta, nierząd gubi kraje.

Jego bezinteresowność wskazuje uwiadomienie, które wydawca podał na czele książki: »Rękopism niniejszej książki bezimiennie został przysłany do drukarni polskiej, z funduszem na jego wydanie i z poleceniem, aby cena każdego egzemplarza nie przechodziła kosztów jego nakładu i aby cały dochód z wyprzedaży tej książki został złożony do kasy Towarzystwa Dam polskich« (Tow. Dobroczynności). Wyrzekał się więc i zysków i sławy, a przynajmniej rozgłosu.

Otóż w tej książce znajdował się artykuł zatytuło-

wany *Opinja,* w którym autor występował przeciw współczesnym poetom, oskarżając ich o to, że jak dawniejsi schlebiali królom, tak ci schlebiają ludowi, wmawiając weń »królewską dumę wszechwładztwa i najwyższej w ustawach i rządzie mądrości«... »A że śród ludu młodzież lóżna, niezajęta, nieumna i lekkomyślna najpochopniejsza jest do nowych wrażeń i do porywczych uniesień: więc pochlebcy ludów dworują jej także, jako następcy tronu popularnego... i równie źle i zgubnie przysługują się młodzi i ludom, jak pochlebcy króli panom swoim«. I tu jako przykład podawał ustęp z *Kordjana* Słowackiego, w którym bohater dramatu w scenie spiskowej woła do zgromadzonych, »aby mu się dali w ręce«, ponieważ czuje w sobie wielką siłę poświęcenia:

Wierzcie mi, wierzcie, ludzie, jam jest wielki, mocny itd.

Był też w tym rozdziale pod koniec zwrot i do *Ody do młodości,* albo raczej do wpływu, jaki ona na młodzież wywiera. Autor zapytawszy, czemże jest młodzież? odpowiada: »Nadzieją jedynie, i ta pełznie nikczemnie, żałośnie, kiedy sama w sobie skutek dzielnej zasady, cichej, statecznej pracy, długiego czynu i doświadczenia wyprzedza. »Ten co w kolebce łeb urywał hydrze, młodzieńcem dusił centaury«, w skromnych dojrzewał pracach, w uniżonych znojach«... I tu następowało porównanie z odwiecznym dębem, który dlatego opiera się tylu burzom, nawałnicom i niewczasom, że zanim zaczął róść w górę, zapuścił naprzód głęboko w ziemię korzenie. «My jako rośliny letnie, prędkozrzałe, im płytsze w zasadzie, tym na pozór okazalsze w poroście, wczesny kwiat dajem mdłej woni, próżnej chluby... a przypadek tylko, nie własna siła, ocala nas od burz i przeciwności, pod któremi niedołężnie upadamy«. Rozdział kończył się cytatem z Krasickiego:

Szczególne i powszechne doświadczenie uczy,
Że nie można być wielkim i prędko i łatwo itd.

Dla Paszkowskiego, w tych rozważaniach nad młodzieżą, wzorem, ideałem człowieka i Polaka był Kościuszko, choć go tu nie wymieniał. Nie miał bowiem Kościuszko w sobie nic z genjalności olśniewającej, uwielbianej przez romantyków; on to »w skromnych dojrzewał pracach, w uniżonych znojach«, on był dla Paszkowskiego owym dębem, zdolnym opierać się wielkim burzom i nawałnicom. Jemu też w swoich poglądach na dzieje Polski od czasów Stanisława Augusta aż do końca powstania listopadowego poświęcił obszerny rozdział p. t. *Kościuszko,* w którym szczegółowo i dokładnie przedstawił dzieje powstania z r. 1794 i na tem tle uwydatnił zasługi Naczelnika. A kończył ten rozdział takiemi uwagami: »Jeżeli był kiedykolwiek Polak, coby osobistem swem usiłowaniem mógł zbawić swoją ojczyznę, to nim był Kościuszko. Z przymiotami swego narodu łączył wyższy rozsądek, wsparty na nauce, rozwadze i doświadczeniu wojny, a przeto wolny był od wad, które ziomków jego niezdatnymi czyniły ku wspieraniu go dzielnie w usiłowaniach jego. Każdy z nas, który czuje w sobie ciche, skromne i swobodne powołanie do dźwigania Ojczyzny, powinien ściślej wglądać w całe życie Kościuszki i na nim brać wzór i z niego brać nieomylną otuchę wyswobodzenia jej«...

Tę książkę czytał Słowacki zaraz po jej wydrukowaniu, t. j. w czasie, kiedy już pisał *Beniowskiego* i gotował się dać wszystkim swoim krytykom złośliwą odprawę. W książce nowej spotykał się z autorem, który był jego antypodem pod względem usposobienia, przekonań i daru wymowy, ale przedewszystkiem zwróciła ona jego uwagę tem, czem go dotykała osobiście, t. j. cytatem z *Kordjana,* ilustrującym, jak poeci dzisiejsi schlebiają

ludowi i młodzieży. Nie omieszkał też zaraz i bezimiennemu autorowi *Pomysłów do dziejów Polski* dać odprawę w *Beniowskim*, żeby zaś znaleźć jakiś sposób wciągnięcia go do poematu wymyślił, że i Beniowski

Na starość także napisał: *Pomysły*
Do dziejów, które się dziać kiedyś mogą,
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po ręku, jak rektorska linja;
Jeśliś ciekawy, patrz Rozdział: *Opinja.*

Odprawa była o wiele łagodniejszą od innych, któremi poemat był przepełniony, już choćby z tego powodu, że Słowacki nie mógł podejrzewać bezimiennego Krakowczyka o jakiekolwiek wspólnictwo z emigracyjnymi krytykami, którzy mu drogę zagradzali do sławy. Duszę jego nazwał polską, a sądzę, że do tego najwięcej się przyczyniło to, że w książce jego uderzała nadzwyczajna cześć dla Kościuszki. I tu jest miejsce na wyjawienie przypuszczenia, że ta to właśnie okoliczność stała się pobudką dla Słowackiego, tak łatwo ulegającego podmuchom chwilowych wrażeń, że do swego natarcia na emigrację użył imienia Kościuszki, związawszy je ze słowami legendy: *Finis Poloniae.* Naturalnie tych słów nie wziął od Krakowczyka, bo tej legendy nie było u niego, ale skoro dzięki jemu, w czasie ataku na emigrację, przypomniała mu się postać Kościuszki, sięgnął do znanej sobie skądinąd legendy, aby tem imieniem i tą legendą nadać tem większą siłę swoim pociskom. Zwracam uwagę na to, że strofa ze wzmianką o Kościuszce i strofa krytykująca książkę Krakowczyka należą do tej samej pieśni (trzeciej) i są w bliskiem ze sobą sąsiedztwie, oddzielone od siebie tylko

dziewięciu oktawami, co przypuszczenie czyni bardziej prawdopodobnem.

Co się tyczy Paszkowskiego, to należy tu jeszcze zanotować jeden szczegól dziwny, ale dla historji legendy maciejowickiej, rojącej się od bałamuctw, bardzo charakterystyczny. Paszkowski w swoich pośmiertnie wydanych *Dziejach Tadeusza Kościuszki* (str. 257), oburzając się, że «sami Polacy, mimo głębokiego wstrętu, dotąd ją (legendę o *Finis Poloniae)* bez żadnej wątpliwości i krytycznego badania za prawdziwą przypuszczają», podaje do wiadomości czytelnika źródło, skąd jakoby ta legenda wypłynęła. »Wieść o wyrzeczeniu tem w chwili swego (t. j. Kościuszki) upadku pod Maciejowicami, pierwszy Seume zapisał, młody Niemiec, w służbie moskiewskiej w powstaniu Warszawy pojmany, w opisie swych przygód i tej wojny, wkrótce po jej zakończeniu wydanym«. A już i przedtem na str. 254 do 255, wymieniając ważniejsze dzieła polskie i obce, dotyczące powstania Kościuszki, pisze: »Seume, młody Niemiec w służbie rosyjskiej, jeniec w Warszawie, dość płocho swoje przygody w tej wojnie opisał; on to pierwszy między innemi umieścił wieść o owem *Finis Poloniae,* którą Niemcy na korzyść swoją dotąd utrzymują i uznawają za prawdziwą, a niektórzy Polacy zbyt bezkorzystnie dla siebie bez sprzeczki przypuszczają«. Otóż w istocie Seume był takim młodym Niemcem w służbie rosyjskiej, który w Warszawie został wzięty w niewolę i który wkrótce po upadku powstania napisał i wydał w Lipsku 1796 książeczkę p. t. *Einige Nachrichten über die Vorfälle in Polen im Jahre 1794.* Z tonu, jakim Paszkowski mówi o tem piśmie (które zresztą było przedrukowywane wielokrotnie w zbiorowych wydaniach dzieł Seumego), nie można wątpić, że je miał w ręku, że je czytał; wszakże to był tak interesujący dla niego przedmiot! Ale skąd mu się wzięło, aby Seumemu, — który, jak na cudzoziemca, służą-

cego w nieprzyjacielskiem wojsku, bezstronnie i z wielkiem uszanowaniem mówi o Kościuszce, choć krytykuje jego strategję, — skąd mu się wzięło przypisać Seumemu to *Finis Poloniae*, o którem u Seumego niema ani wzmianki? Nie będę się silił na objaśnianie tego bałamuctwa, które było zapewne owocem starczej pamięci, ale chcę zaznaczyć, że to bałamuctwo, jedno z wielu tych, co pokutują w naszej literaturze historycznej, dotyczącej Kościuszki, przesiąkło aż do wielkiego dzieła Korzona o Kościuszce. Korzon bowiem, który znał już właściwe źródło legendy, a Seumego pamiętnik znać musiał, a przynajmniej znać był powinien, wahał się, czy wierzyć ma własnym oczom czy pamięci Paszkowskiego, bo mówiąc o »pomysłowym wynalazcy« legendy, w nawiasie stawiał ze znakiem pytania nazwisko Seumego [1]).

Czy głosy takie, jak Słowackiego w *Beniowskim*, a Witwickiego w *Wieczorach Pielgrzyma*, uznające legendę za fakt historyczny, przenikały do wiadomości niemieckiej publicystyki, rzecz to bardzo wątpliwa, ale i bez tego w pruskich sferach rządowych legenda o *Finis Poloniae* była starannie przechowywana, aby ją wysuwać, gdy się okaże potrzeba i nadarzy ku temu sposobność. Tak się stało w okresie rewolucyjnym 1848—9, kiedy w Poznańskiem wśród Polaków bardzo żywo były rozbudzone uczucia narodowe i bardzo ostro zarysowywał się antagonizm polsko-niemiecki. Wtedy to rząd pruski, przeciwdziałając polskiemu ruchowi narodowemu w Poznańskiem, zamyślał o t. zw. reorganizacji tej prowincji, t. j. o rozkawałkowaniu jej na części, a kiedy Polacy wnieśli protest przeciwko tym zamysłom w sejmie Rzeszy we Frankfurcie i znaleźli

[1]) »Z większem prawdopodobieństwem mógłby pomysłowy wynalazca (Seume?) włożyć Kościuszce w usta: „*Finis Insurrectionis!*“ *Kościuszko*, biografja z dokumentów wysnuta przez K. Kraków 1894, str. 449.

wśród mniejszości tego sejmu pewne echa przychylne, ukazała się broszura niemiecka, ziejąca nienawiścią ku Polsce, a samym tytułem swoim odświeżająca legendę. Tytuł ten brzmiał: *Finis Poloniae! Beweis dass Polens Selbständigkeit weder ihm selbst noch Deutschland Heil bringen würde*, Weimar 1848. Po krótkim wstępie znajdował się tam drugi tytuł, albo raczej tytuł głównej części tej broszury, który jeszcze dokładniej określał jej treść i tendencję: »*Hauptargumente* aus den in der Nationalversammlung zu Frankfurt gehaltenen *Reden für oder gegen Posens Einverleibung in den deutschen Bund* nebst den daran knüpfenden Beweisführungen über *Polens gänzliche Unfähigkeit* zu einer staatlichen Wiedergeburt«. Była to krytyka wszystkiego tego, co się mówiło w sejmie Rzeszy na korzyść Polski, a bardzo wytężone uzasadnianie tego, co się tam mówiło przeciw narodowi polskiemu. Kiedy zaś August Cieszkowski, w obronie praw polskiej ludności w Poznańskiem, wydał broszurę o stosunku Poznańskiego do pruskiej korony p. t.: *Zusammenstellung von Staatsvölkerrechtlichen Urkunden,* wtedy w odpowiedzi na tę broszurę pojawiła się inna, która wyszła ze sfer rządowych pruskich (napisana, jak się domyślano, przez sekretarza ministerjalnego Puttkammera), a miała także tytuł: *Finis Poloniae* [1]), dążeniem zaś broszury było wykazać, że praw-

---

[1]) *Finis Poloniae* von einem Preussen. Berlin 1850. Wogóle ten rzekomy okrzyk Kościuszki służył rządowi pruskiemu za hasło do antypolskiej propagandy. I tak w r. 1861, kiedy się ukazała broszura francuska p. t.: »La Prusse et les traités de Vienne« przychylna sprawie polskiej, rząd pruski pośpieszył zaraz z odpowiedzią, pełną buty i pogardy dla Polaków, napisaną także po francusku p. t.: *Finis Poloniae,* (Bruxelles, Leipzig, Gand 1861). Kończyła się ona bardzo charakterystycznym dla źródła legendy zwrotem: »Nous pourrons bien répéter les derniers mots du brave Kocziusko (sic): Finis Poloniae!«

dziwy *Finis Poloniae* nastąpi dopiero wtedy, kiedy W. Ks. Poznańskie przestanie istnieć, jako odrębna całość administracyjna i zostanie rozdzielone między inne prowincje pruskie; inaczej państwu pruskiemu będzie ciągle groziło niebezpieczeństwo. Donosił o tem korespondent *Czasu* w Nr. 3 z 4 stycznia 1850 r., a Paszkowski, który mieszkając wtedy pod Krakowem był stałym czytelnikiem *Czasu,* gorszył się i zanotował to zgorszenie swoje w przypisach do gotowych już *Dziejów Tadeusza Kościuszki,* że korespondent *Czasu* podawał rzekome słowa Naczelnika bez odparcia legendy »jako własne wyrzeczenie Kościuszki«.

V.

Leonard Chodźko. Autentyczne pismo Kościuszki.

Niedługo potem, pod koniec roku 1850, ukazał się był w *Journal des Débats,* jednym z najpoważniejszych dzienników politycznych francuskich, artykuł Johna Lemoinne, jednnego z redaktorów tego pisma, widocznie z jakąś aluzją do legendy maciejowickiej. Mówię w i d o c z n i e, gdyż treść artykułu tego nie jest mi znaną, bo *Debatów* w bibljotekach krakowskich znaleźć nie można, wiadomość zaś o tym artykule znajduje się w *Czasie* z 3 grudnia 1850, Nr. 279, w korespondencji z Paryża pod datą 27 listopada. Korespondent pisał: »Z powodu artykułu p. John Lemoinne p. Leonard Chodźko posłał do redakcji *Debatów* własnoręczny list Kościuszki, pisany dnia 12 listopada 1803 roku, w którym nasz bohater zaprzecza, aby pod Maciejowicami zawołał: *finis Poloniae!* Mówi on w tym liście, że kiedy został ranny, stracił przytomność i nie odzyskał jej aż po kilku godzinach; że kiedy był ranny, nie wiedział, że bitwa była przegrana; że wreszcie objawianie absolutnego zdania

o przyszłości ojczyzny byłoby z jego strony czynem zbrodniczym«.

Z nazwiskiem Leonarda Chodźki w historji legendy maciejowickiej pojawia się nowa postać, która bodaj czy nie najwięcej w niej nabróździła. Leonard Chodźko, kolega szkolny Zana, uczeń uniwersytetu wileńskiego między 1815 a 1817, od r. 1819 sekretarz prywatny ks. Michała Ogińskiego, z którym liczne odbywał podróże, znalazł się w Paryżu na kilka lat przedtem, nim potok emigracji polskiej tam napłynął, bo już w r. 1826, i tu rozpoczął swoją działalność literacką i wydawniczą od wydania Pamiętników swego pryncypała w języku francuskim. Wyrobiwszy sobie liczne stosunki w Paryżu, uzyskał naprzód posadę urzędnika w bibljotece uniwersyteckiej, a potem bibljotekarza w ministerjum oświecenia. Był to człowiek używający opinji gorliwego patrjoty, umysł niezmiernie ruchliwy i płodny, pisał bardzo dużo i to przeważnie po francusku dla Francuzów o Polsce, ale ta płodność nie szła bynajmniej w parze z gruntownością studjów i nieraz na grafomanję zakrawała. Co gorsza, Leonard Chodźko należał do ludzi, mających przekonanie, że cel patrjotyczny uświęca wszelkie środki, zwalnia autorów od sumiennego traktowania przedmiotu i upoważnia nawet do fałszowania dokumentów historycznych. Tak przynajmniej z tego, co zrobił, wnosić można.

Tknięty do żywego, że legenda o *Finis Poloniae* traktowana jest poważnie przez tak poważny organ, jak *Journal des Débats*, zamiast wykazać bezpodstawność i niedorzeczność legendy, co nie było rzeczą trudną, postanowił chwycić się metody: *similia similibus curantur* i obalić legendę apokryfem. Chodziło o to, aby sam Kościuszko, od 33-ch lat spoczywający w grobie, zaprzeczył słowom wkładanym mu w usta, co jużci nie było rzeczą łatwą. Trzeba było zatem znaleźć, albo raczej skomponować jakieś da-

wniejsze oświadczenie Kościuszki, któreby było takiem zaprzeczeniem.

O pomoc w tej sprawie zwrócił się do swego znajomego, Jerzego Zenowicza (ur. 1782), dawnego jenerała napoleońskiego, którego przed bitwą pod Waterloo Napoleon wysyłał bezskutecznie do Grouchy'ego, żądając jego przybycia. Zenowicz był jakimś dalekim krewnym Kościuszki i autorem książki: *Défense de la Pologne ou Histoire morale, politique et littéraire de cet ancien état* par Mr. Georges de Despots de Zenowicz, Paris 1812, w której wspominał i o bitwie pod Maciejowicami i z uwielbieniem pisał o Kościuszce: «En citant les Polonais qui ont droit à l' admiration de la posterité, je plaçerais Kościuszko à leur tête, si mes relations de famille avec lui ne m'obligeaient de restreindre les éloges, que je devrais lui donner. L'univers connait les talents et les services importants, qu'il a rendu à sa patrie; tout ce que j'essayerais de dire, serait au-dessous de la gloire et de la reconnaissance des Polonais« (str. 97) [1]). O jakimś bliższym stosunku Kościuszki do Zenowicza nic nie wiemy, a przytoczony ustęp zdaje się świadczyć o chęci autora popisania się przed światem pokrewieństwem z Kościuszką.

Bądź co bądź, był to człowiek, który nadawał się jak najlepiej do roli, jaką mu wyznaczał Leonard Chodźko: dać świadectwo w imieniu Kościuszki, że ten słów mu przypisywanych po klęsce maciejowickiej nie wypowiedział Napisał więc Chodźko do niego zaraz list w tej sprawie i otrzymał następującą odpowiedź:

---

[1]) »Wymieniając Polaków, których powinna wielbić potomność, powinienbym umieścić Kościuszkę na ich czele, gdyby stosunki rodzinne, które mię z nim łączą, nie zmuszały mnie do ograniczania pochwał dla niego. Cały świat zna jego zdolności i wielkie zasługi jego dla ojczyzny; cokolwiekbym w tej sprawie próbował tu powiedzieć, byłoby poniżej jego sławy i wdzięczności Polaków«.

Paris, ce 6 novembre 1850. »Kochany Leonardzie! Co mi mówisz w liście twym o *finis Poloniae*, jest zupełną prawdą i niejednokrotnie Naczelnik mi o tem mówił z żalem w sercu. Przy ciągłych wyprawach wojennych, a niekiedy i niepomyślnych odwrotach, przy tylu gonitwach i wygnaniach, przez jakie przechodziłem od lat tylu, wiele papierów ważnych zaginęło mi. Po otrzymaniu listu twego zajrzałem w swoje papiery i znalazłem minutkę listu Naczelnika do Ségura, gdyż sam list był przezemnie pisany pod dyktowaniem Kościuszki. Przy tym liście dołączam ci kopję i serdecznie cię uściskam, Jerzy Zenowicz«. Zgodność kopji stwierdził podpisem: G. Zenowicz, ancien colonel d'Etat Major Général de Napoléon [1]).

Ażeby zrozumieć ten list Kościuszki do Ségura, o którym wspomina w liście do Chodźki Zenowicz i którego kopję mu przesyła, potrzeba przedtem poznać inną sprawę, która wywołała inne, autentyczne pismo Kościuszki, przeznaczone dla Ségura, jako autora dzieła już wyżej wymienionego (*Tableau historique et politique de l'Europe* etc). W r. 1803 wyszło trzecie wydanie tego dzieła i w tomie drugim tego wydania, na str. 272—273 w opisie bitwy maciejowickiej był ustęp, dotyczący jenerała Ponińskiego, który w stosunku do tej bitwy odegrał mniej więcej taką rolę, jaką generał Grouchy w stosunku do bitwy pod Waterloo: nie przybył pomimo wezwania Naczelnika na czas ze swoim oddziałem pod Maciejowice i stał się w ten sposób przyczyną klęski. Jenerał Poniński był synem osławionego i znienawidzonego przez wszystkich patrjotów Adama Ponińskiego, pod którego laską marszałkowską dokonał się pierwszy rozbiór Polski, więc nic dziwnego, że padło na niego z powodu tego spóźnienia się podejrzenie

---

[1]) Oryginał listu Zenowicza ma się znajdować w papierach po Leonardzie Chodźce w Rapperswylu. Podał go Korzon w swojej monografji o Kościuszce na str. 664.

o zdradę i przeniknęło do historji Ségura. »La trahison — czytamy we wskazanem miejscu u Ségura — rendit inutiles tous les efforts de la vaillance polonaise. ... Poniński, chargé d'empêcher le passage d'une riviére, le livra (Kościuszkę) aux Russes« [1]).

W jesieni 1803 roku przybył do Paryża Poniński, a znalazłszy tylko co przytoczony ustęp w książce Ségura, napisał do Kościuszki po francusku obszerny list, w którym starał się usprawiedliwić swoje spóźnienie się pod Maciejowicami i kończył w ten sposób, że »przykro mu mówić o sobie samym i niejako chwalić się samemu; ale spotwarzany od niektórych Polaków i w piśmie p. Ségur będąc wspomniany, jako zdrajca ojczyzny swojej, przymuszony jest do tego; a że do czasu pojmania swego Kościuszko najlepiej wie, co się stało, pochlebia sobie, iż umiejąc cenić swój, będzie umiał równie cenić jego honor i że mu da odpowiedź, na jaką zasługuje, jaką sam winien prawdzie i która mu służyć będzie za świadectwo nienagannego postępowania« [2]).

Kościuszko odpowiedział (także po francusku) na ten list Ponińskiego tak, jak mógł odpowiedzieć, w niczem nie naruszając prawdy. Nie miał on możności wyrobić sobie jakieś jasne przekonanie, czyto o winie, czy o niewinności Ponińskiego, tak więc odpowiedział: »W epoce tak oddalonej i nie mając papierów potrzebnych do sprawdzenia czynów, pamięć sama byłaby niepewnym przewodnikiem. Przypominam sobie jednak, że w raporcie moim do narodu po bitwie Szczekocińskiej oddałem sprawiedliwość odwadze WPana. Co do bitwy pod Maciejowicami, wiem, żem dał WPanu kilka rozkazów przyciągnienia do mnie ze swoją

---

[1]) »Zdrada udaremniła wszystkie wysiłki waleczności polskiej... Poniński, który miał rozkaz nie dopuszczenia, aby wróg przekroczył pewną rzekę, wydał go (Kościuszkę) Rosjanom«.

[2]) Fr. Paszkowski: *Dzieje Tad. Kościuszki*, str. 169.

dywizją, na którą wielce liczyłem, i wiem, że rozkazy moje nie były wykonane: ale co do wypadków po mojem pojmaniu nie mogę nic pewnego powiedzieć« [1]).

Ponińskiemu, obarczonemu hańbą imienia ojcowskiego, takie świadectwo Kościuszki nie wystarczało do oczyszczenia się w opinji publicznej od podejrzeń o zdradę. Zrozpaczony, uderzył w inny ton, gwałtowny, chcąc do żywego obrazić Kościuszkę i wywołać pojedynek. Zdawało mu się, że w ten sposób poprawi swojej sławy. Napisał tedy nowy list do niego, zarzucając mu nieudolność, zwalając całą winę klęski maciejowickiej na niego, a nawet robiąc mu zarzut z tego, że nie odebrał sobie życia przed dostaniem się w ręce wroga, skoro miał pistolety, »o których mawiał, że go od niewoli ochronią«. W razie zaś, gdyby Kościuszko nie dał mu satysfakcji honorowej, groził ogłoszeniem swojej korespondencji drukiem [2]).

Otrzymawszy ten list, Kościuszko wezwał czterech »poufalszych swoich«, a w tej liczbie i Paszkowskiego, który tę sprawę bardzo żywo i zajmująco opisał, i odczytawszy im ten drugi list Ponińskiego, powiedział spokojnie: »Ja z nim strzelać się muszę, inaczej nie wypada«. »My — powiada Paszkowski – przełożyliśmy mu, że to nie do, niego prywatnego, ale do Naczelnika narodu się ściąga w żaden więc sposób nie należało mu na to odpowiadać i że naszą będzie rzeczą zapobiec temu. »Nie, nie czyńcie tego, rzekł z właściwą sobie ujmującą słodyczą: gdybym był jeszcze Naczelnikiem narodu i w kraju, wiedziałbym, jak postąpić, ale tutaj«... »Więc, rzekliśmy, on nie dójdzie do Naczelnika tylko po nas i tego nie zechcesz nam wzbraniać«. Po wyjściu zaraz naszem od niego, zebrali się będący wówczas w Paryżu Polacy w liczbie dwudziestu czte-

---

[1]) Tamże 172.

[2]) Tamże 172—173.

rech; przeczytano całą korespondencję i zgromadzenie, przejęte zgrozą i niechęcią na tak zdrożną zapamiętałość, postanowiło jednomyślnie wysłać do Ponińskiego z oświadczeniem, »iż targnąwszy się na honor całego narodu w osobie jego Naczelnika, gdyż nim nigdy być nie przestał, nawet po upadku kraju, miał przeprosić go i niezwłocznie w przytomności wszystkich odwołać własnoręcznem pismem wszystko to, co napisał i powiedział, i potem dopiero pokornie prosić o to, coby Naczelnik dlań chciał uczynić, do czego gdyby się nie chciał dobrowolnie porozumieć, będzie miał do czynienia ze wszystkimi dwudziestu czterema, z każdym z osobna, nimby się zbliżył do Naczelnika«.

»Dwóch poniosło do Ponińskiego to poselstwo, którego wysluchawszy i że było dwudziestu czterech, z uniesieniem zawołał: »ja jestem dwudziesty piąty, ja szanuję i czczę Naczelnika, jako naszego ojca, ja od niego tyle odebralem dobrodziejstw i tylko rozpacz mnie do tego pobudziła, nie mogąc pokazać się w Polsce, aby mnie przekleństwa i wyrzuty nie ścigały«. Oświadczył się gotowym uczynić wolę zgromadzenia i przyrzekł być nazajutrz u Kościuszki z usprawiedliwieniem. Ci sami poszli mu nazajutrz towarzyszyć... Przyjął go Kościuszko poważnie, drżącego i pomieszanego w przytomności innych kilku Polaków i łagodnie z nim zaczął mówić, przez co Poniński nabrał śmiałości, którą niebawem aż do zuchwalstwa posunął; wtedy Kościuszko, nagle zwracając się ku niemu, z jaskrawem okiem zapytał go groźnie: »czy w samej rzeczy rozumiesz, że znieść nie mogę widoku pistoleta?« Struchlał Poniński i odtąd był najpowolniejszy; napisał zaraz sam odwołanie, oświadczając, »że co wprzód napisał, było skutkiem uniesienia, rozumiejąc, że Naczelnik wątpi o jego postępowaniu i honorze; i że ktokolwiekby tego użyć chciał, [on] będzie z nim miał do czynienia, jako z potwarcą!« Przestał na tem Kościuszko, ale gdy on prosił o zaświadczenie, jakie mieć

pragnął, wymawiał się stale, że prawdziwie o tem, co się stało po bitwie maciejowickiej, nic sumiennie poświadczyć nie mógł. Byli zaraz tacy, którzy zapewniali, iż Poniński był sądzony i oczyszczony: »więc tych tu świadectwo, rzekł, może ci być dostateczne;« on zaś powtarzał, że nic nie mogło zastąpić świadectwa Naczelnika, i przeszedłszy trwogę i zuchwałość nadaremnie, wpadł w żałość, rozwodząc się rzewliwie, iż mu nic prócz rozpaczy nie zostawało; będąc od wszystkich odpychany i nie znajdując nawet politowania. Tem ujął niektórych obecnych tak, iż prosili za nim, i Kościuszko, zastanowiwszy się nieco, skłonił się nakoniec do dania mu pisma, w którem wyrażał: »iż co do bitwy maciejowickiej, w której Poniński nie znajdował się ze swoją dywizją, zaświadcza podług zeznania niektórych członków obecnych, iż był o to poddany [badaniu] komisji, której dowiódł nieodebranie dalszych rozkazów, i że ta komisja uznała go niewinnym« [1]).

Tak przedstawia tę rzecz Paszkowski, wogóle bardzo niechętnie usposobiony względem Ponińskiego. Zdaje się, że rozpacz tego ostatniego musiała mieć akcent prawdy, który przemówił do serca Naczelnika, a stąd i gwałtowność rozpaczającego dawała się tłumaczyć na korzyść jego, skoro Kościuszko nietylko zgodził się dać mu od siebie świadectwo oczyszczające, ale i sam to pismo wręczył autorowi *Obrazu historycznego i politycznego Europy*, hr. de Ségur, aby ten mógł w przyszłem wydaniu swego dzieła uczynić stosowną poprawkę. Ponińskiemu naturalnie o to najwięcej chodziło, ale zapewne nie przypuszczał, sądząc po szybkiem następstwie trzech pierwszych wydań, że na czwarte wydanie trzeba będzie czekać przeszło lat dwadzieścia. Ukazało się ono bowiem dopiero w r. 1824 p. t. *Décade historique ou Tableau politique de l'Europe depuis*

---

[1]) Tamże 174—6.

1786 jusqu'en 1796 par Mr. le comte de Ségur — 4-ème édition. Paris MDDDXXIV. I tu w drugim tomie na str. 264—5 ustęp, dotyczący Ponińskiego, był w ten sposób zmieniony: »On crut généralement alors que le prince Poninski, chargé d'empêcher le passage d'une rivière, l'avait livrè aux Russes, et qu'il n'obéit point à l'ordre qu'il avait reçu de rejoindre l'armée avec sa division. Le généralissime, privé de ce sécours fut attaqué à Maciejowice par le général Fersen...« i potem ogólnikowo podany przebieg bitwy.

Do tego ustępu był dodany przypisek, który tu nas najwięcej obchodzi, bo w nim znajdowało się autentyczne świadectwo Kościuszki, wydane Ponińskiemu. Dopisek był następujący:

«Le prince Poninski, accusé par l'opinion générale, fut depuis jugé et acquitté. L'impartialité, premier devoir d'un historien, m'oblige d'insérer ici une note, signée par le général Kosciuszko et par plusieurs autres généraux. Ce général et le prince Poninski ont remis tous deux cette attestation entre mes mains« [1]).

Ś w i a d e c t w o K o ś c i u s z k i. Je donne avec satisfaction le témoignage au prince Adam Poniński, ci-devant général au service de la république de Pologne, qu' à la bataille de Szczekocin et dans toutes les autres affaires dans lesquelles il a combattu sous mes ordres, il s'était conduit bravement avec bravoure. Quant à la bataille de Maciejowice, à laquelle il ne s'était pas trouvé avec sa division, j'atteste, d'après les informations de quelques-uns de mes compatriotes, présents à Paris, que pour sa conduite

---

[1]) »Książę Poniński, którego głos powszechny obwiniał o zdradę, był następnie sądzony i uniewinniony. Bezstronność, pierwszy obowiązek historyka, nakazuje mi umieścić tutaj notatkę, podpisaną przez generała Kościuszkę i kilku innych generałów. Ten generał i książę Poniński doręczyli mi obaj to zaświadczenie«.

à la dite bataille il a été soumis à une commission, à laquelle il a prouvé, que mes ordres ultérieurs ne lui étaient pas parvenus et que la commission l'avait trouvé innocent.

Fait à Paris, ce 19 brumaire an XII (11 Novembre 1803).

T. Kościuszko.

Présents attestons la signature:
Fr. Paszkowski, capitaine.
Xavier de Walewski.
Axamitowski, colonel, au service de France.
Zawadzki, chef de bataillon au service de France.
M. Piotrowski, ci-devant général de Pologne.
B. Komorowski [1]).

VI.

Apokryficzne pismo Kościuszki.

Otóż zobaczmy teraz, co to był za list Kościuszki do Ségura, o którym wspominał Zenowicz w swoim liście do Chodźki i który miał być pisany ręką Zenowicza pod dyktowaniem Kościuszki. Wydrukował go Chodźko w swoim

[1]) Przekład świadectwa Kościuszki. Z zadowoleniem daję świadectwo księciu Adamowi Ponińskiemu, byłemu jenerałowi w służbie Rzeczypospolitej polskiej, że w bitwie pod Szczekocinami i we wszystkich innych, w których walczył pod mojemi rozkazami zachowywał się mężnie. Co się tyczy bitwy pod Maciejowicami w której wraz ze swoją dywizją nie wziął udziału, świadczę na podstawie wiadomości, udzielonych mi przez niektórych ziomków moich obecnych w Paryżu, że w sprawie niestawienia się w tej bitwie poddany był badaniu pewnej komisji, której dowiódł, że moje późniejsze rozkazy nie doszły rąk jego, i stąd komisja uznała go niewinnym. Dan w Paryżu, 19 brumaire r. XII (11 listop. 1803). T. Kościuszko. Autentyczność podpisu stwierdzamy obecni: Fr. Paszkowski, kapitan. Xawery Walewski. Axamitowski, pułkownik w służbie Francji. Zawadzki, dowódca bataljonu w służbie Francji. M. Piotrowski, b. jenerał Polski. B. Komorowski.

zbiorze dokumentów historycznych, który wydał w Paryżu r. 1862 pod pseudonimem hrabiego d' Angeberg, a pod tytułem: *Recueil des traités, conventions, manifestes etc. relatifs à la Pologne de 1762 à 1862*. Podam go tu w przekładzie polskim.

»Paryż 20 brumaire rok XII = 31 października 1803.

Panie Hrabio!

»Doręczając Panu w dniu wczorajszym pismo, dotyczące sprawy zachowania się p. Adama Ponińskiego w kampanji 1794, powinienem był wspomnieć jeszcze o jednym fakcie, odnoszącym się do nieszczęśliwej bitwy maciejowickiej, który chciałbym jak najprędzej wyjaśnić (qu'il me tarde d'éclaircir).

»Nieświadomość albo zła wola sprzysięgły się (s'acharnent), aby mi wcisnąć w usta wyrażenie *finis Poloniae*, którego użyć miałem w dniu tym nieszczęsnym. Otóż przedewszystkiem już przed końcem walki byłem niemal śmiertelnie ranny i dopiero po dwu dniach, będąc już w ręku nieprzyjaciół, odzyskałem przytomność. Następnie, jeżeli wykrzyk podobny byłby nierozumny i zbrodniczy u każdego Polaka, to daleko bardziej byłby takim w moich ustach.

»Naród polski, powołując mię do obrony całości, niepodległości, honoru, sławy i wolności ojczyzny, wiedział dobrze, że nie jestem o s t a t n i m Polakiem i że z moją śmiercią, czyto na polu walki, czy też gdziekolwiek indziej, Polska nie może i nie powinna się s k o ń c z y ć. Wszystko, cokolwiek od tego czasu Polacy zdziałali w przesławnych legjonach polskich, i wszystko, co jeszcze w przyszłości uczynią dla odzyskania ojczyzny — przedstawia dostateczny dowód, że jakkolwiek my, żołnierze, poświęcający się za ojczyznę, jesteśmy śmiertelnymi, Polska jest nieśmiertelną. Nikomu przeto nie wolno używać, ani powta-

rzać haniebnych wyrazów (d'outrageante épithète): *finis Poloniae!*

»Cóżby powiedzieli Francuzi, gdyby po klęsce pod Rossbach w r. 1757 zawołał był marszałek Karol de Rohan, książe Soubise: *finis Galliae!* albo gdyby mu przypisano (si on lui faisait dire) powyższe słowa w jego życiorysach?

»Byłbym więc Panu obowiązany, gdybyś w nowem wydaniu swego dzieła zechciał pominąć (de ne pas parler) owo *finis Poloniae,* i mam nadzieję, że powaga Pańskiego imienia wpłynie na tych wszystkich, którzyby w przyszłości zechcieli powtarzać te wyrazy i przypisywać mi to bluźnierstwo, przeciw któremu protestuję z całej duszy«.

W końcu bylo kilka słów polecających dla oddawcy listu, Jerzego Zenowicza, którego Kościuszko nazywał »mon cousin et mon élève«.

Wyrażone tutaj uczucia patrjotyczne w istocie odpowiadały uczuciom Kościuszki, przynajmniej w treści, jeżeli nie w formie, i tem się zapewne w sumieniu swojem usprawiedliwiali przed sobą autorowie tego fabrykatu politycznego. Ale sam fabrykat był z niesłychaną naiwnością sklecony. Bo jakże to? Kościuszko prosi Ségura, aby w nowem wydaniu swego dzieła nie wkładał mu w usta słów: *finis Poloniae,* których on w trzech pierwszych wydaniach ani myślał powtarzać! Szczególna zapobiegliwość, która służyć mogła tylko do odgrzewania legendy! Ale jeżeli fałszywie pojętym patrjotyzmem kierowani autorowie liczyli na to, że swoja czy obca krytyka nie prędko się zdobędzie na zestawienie listu z różnemi wydaniami dzieła Ségura i na wykrycie, że rzekomy list Kościuszki, zwłaszcza gdy będzie umieszczony w poważnym zbiorze dokumentów historycznych, jest apokryfem, to się nie omylili. Apokryf aż do obecnej chwili, aż do ostatnich prac o Kościuszce, utrzymał się w powadze dokumentu historycznego, i to tak w naszej, jak i zagranicznej historjografji, która się na

naszej opierała. Najdziwniejsza rzecz, że Korzon w swojej obszernej i tyle cennych szczegółów przynoszącej pracy o Kościuszce, tak bezkrytycznie pomieszał autentyczne pismo Kościuszki wręczone Ségurowi (w sprawie Ponińskiego) z falsyfikatem Leonarda Chodźki, że mógł napisać o tym liście apokryficznym: »Ségur uczynił żądane sprostowanie w edycjach późniejszych dzieła swojego (w edycji 4-tej z r. 1824, na str. 264 tomu II-go« [1]). A tymczasem na stronie wskazanej przez Korzona jest tylko sprostowanie, dotyczące Ponińskiego, i umieszczony list Kościuszki w tej sprawie, ale o *finis Poloniae* taksamo nie ma najmniejszej wzmianki, jak i w poprzednich wydaniach tego dzieła Ségura i żadnego listu Kościuszki z protestem tam niema. Widocznie Korzon poszedł ślepo za Chodźką, nie zaglądając do książki Ségura, a ci, co po nim pisali o tej sprawie, polegali na powadze Korzona i nie sprawdzali jego cytatów.

To bezkrytyczne zaufanie Korzona dla Leonarda Chodźki jest tem dziwniejsze, że Korzon miał bardzo ważne powody nie dowierzać rzetelności tego historyka. Wszakże to ten sam Leonard Chodźko, i to już

---

[1]) *Kościuszko*, str. 449. W Vademecum Kościuszkowskiem Korzona, wydanem w »Kwartalniku Hist.« 1917 r. (rocznik XXI, zeszyt 4), w którem są zebrane rezultaty ostatnich badań nad życiem Kościuszki i które jest ostatniem słowem Korzona o Kościuszce, panuje to samo bałamuctwo, w innych tylko wyrażone słowach: »Plotkę wprowadził do literatury europejskiej hr. Ségur, zamieszczając ją w poczytnem swem dziele »Décade historique«. Dowiedziawszy się o tem, Kościuszko zażądał natychmiast odwołania listem z d. 20 brumaire roku XII (31 października 1803 r.), co też autor chętnie uczynił, jak się przekonać można z późniejszych wydań dzieła, np. z r. 1824 w tomie II, na str. 264«. Ale ani Korzon, ani żaden z historyków, którzy w ostatnich czasach pisali o Kościuszce, nie wyłączając Askenazego, nie skorzystał z tej możności i nie uwolnił historji od bałamuctwa, które w niej kwitło przez lat siedemdziesiąt.

po skomponowaniu swego apokryfu Kościuszkowskiego, wymyślił inną legendę, dotyczącą tym razem ojca Kościuszki, i w życiorysie Naczelnika, wydanym w *Żywotach narodowych z ostatnich lat stu* (Paryż 1859), twierdził, że ojca Kościuszki zabili jego właśni chłopi, ponieważ był srogim dla nich, a twierdzenie to wprowadził potem Kostomarow do swojej *Historji upadku Polski* (Послѣдніе годы Рѣчи Посполитой), przyprawiwszy je odpowiednim sosem historjozoficznym, stąd zaś dostało się ono do wielkiej Encyklopedji rosyjskiej Brockhausa. Oto co pisal sam Korzon o tej sprawie na 46 stronie swojej monografji o Kościuszce: »Zdaje się, że pierwszy Leonard Chodźko puścił w świat dziwną legendę, nie wymieniając jej źródła: »okropny wypadek z jego ojcem przyśpieszył wyjazd Tadeusza za granicę. Jakoż ojciec jego, człowiek popędliwego charakteru (tu Korzon stawia znak zapytania) i ufając w bezkarność, jakiej wówczas używała szlachta, tak srogo obchodzil się z włościanami, iż ci, przyprowadzeni do rozpaczy, zabili swego pana w r. 1768«. Powtórzył tę legendę K. Wł. Wójcicki, a Kostomarow nadał jej rozleglejsze zarysy, wiążąc z buntami ukraińskiemi, z rzezią humańską, ubarwił kilku szczegółami również niewiadomego źródła i zawnioskował, że wtedy właśnie Tadeusz miał odgadnąć tajemnicę upadku Polski. Niewłaściwość morału i niemożliwość historyczna faktu — pisze dalej Korzon — okazuje się już stąd, że Koliszczyzna wybuchła w dziesięć lat po śmierci Ludwika Tadeusza (ojca Kościuszki) i że w r. 1768 Tadeusz syn nie znajdował się wcale w stronach rodzinnych, a więc nie mógł być świadkiem ani morderstwa domniemanego, ani żadnej kary, wymierzanej jakoby na włościanach«.

Nie obchodzi nas tutaj tendencyjność Kostomarowa, który w swoich monografjach historycznych nie pogardza nawet świadectwami bajecznej *Historji Russów*, ani tem mniej bezgraniczna łatwowierność Wójcickiego, gotowego

bezkrytycznie powtarzać wszystko, co mu bibuła drukowana przyniesie, ale obchodzi nas stosunek Korzona do Leonarda Chodźki. Korzon, poważny historyk, cały oddany swemu przedmiotowi, znajduje w życiorysie Kościuszki, napisanym przez Chodźkę, krzyczący wymysł, wywracający chronologję a na niczem nie oparty, o zamordowaniu ojca Kościuszki przez chłopów, nazywa go dziwną legendą, a tak jest delikatny i ostrożny, że nie chce stanowczo twierdzić, iż to Chodźko pierwszy puścił w świat tę »dziwną legendę«, tj. ten gruby wymysł, i dodaje słówko »zdaje się«. Mniejsza i o to, ale jak mógł Korzon, po złapaniu historyka paryskiego na tak grubym fałszu, nie patrzeć mu pilnie na palce i nie sprawdzać autentyczności jego rzekomych dokumentów historycznych? Oto, co jest trudne do zrozumienia i do usprawiedliwienia. Wprawdzie na wiele lat przed Korzonem dał się tak samo oszukać Chodźce wielki pisarz francuski Juljusz Michelet [1]), ale temu ostatniemu, który był więcej poetą, niż historykiem, i nie miał szczególnych powodów niedowierzania Chodźce, łatwiej wybaczyć jego łatwowierność w tym względzie, niż Korzonowi, który chciał opierać swoją pracę o Kościuszce na wyniku badań źródłowych. Toteż na Korzona głównie spada wina tego, że niedołężnie sklecony apokryficzny protest Kościuszki mógł się, w biały dzień 19-go i 20-go stulecia, utrzymać przez lat siedemdziesiąt.

Tak więc, jak wymyśloną była legenda o *finis Poloniae*, tak wymyśloną również i protestacja Kościuszki przeciw tej legendzie. Nie wiemy, czy się z tą legendą spotkał kiedykolwiek w swojem życiu, ale to pewna, że

---

[1]) Juljusz Michelet w cytowanej już raz książeczce: *Pologne et Russie, légende de Kościuszko* (1852), pełnej gorącego współczucia dla Polski i Kościuszki, zbijając legendę o *Finis Poloniae* na podstawie apokryficznej protestacji Kościuszki, bardzo się wiele przyczynił do rozpowszechnienia samej legendy i protestującego apokryfu.

nie znalazł jej w żadnem poważnem dziele historycznem, ani w żadnym poważnym dzienniku, a jeżeli wpadła mu w oczy w jakiejś gazetce prowincjonalnej, to mógł ją traktować jako plotkę, na którą nie warto zwracać uwagi i odpowiadać.

Należy dodać, że ani Despot Zenowicz w swojej *Défense de la Pologne*, wydanej w dziewięć lat (1812) po rzekomej protestacji Kościuszki, ani Leonard Chodźko w swojej *Biographie du général Kościuszko* (Fontainebleau 1837) nic jeszcze nie wiedzą o wrogiej legendzie, bo nie odpierają jej wcale i nic nie mówią o owej protestacji Kościuszki.

VII.

Juljan Niemcewicz. Jego »dziurawa« pamięć.

Ale jeżeli dziwnem jest tak długie utrzymywanie się apokryfu na powierzchni historji w białym dniu krytyki historycznej, to jeszcze dziwniejszym jest fakt, że jedyne pewne świadectwo dotyczące chwili, bezpośrednio poprzedzającej tę, w której Kościuszko otrzymał cięcie w głowę i utracił na długi czas przytomność, świadectwo najważniejsze, jakie może być, bo będące wyznaniem samego bohatera, że to jedyne ważne świadectwo o chwili tak tragicznej, wypowiedziane jeszcze przed 120 laty, a przed sześćdziesięciu wydrukowane, utonęło zupełnie w niepamięci ludzkiej i teraz trzeba je wydobywać z głębokich fal zapomnienia, jako rzecz zupełnie nową.

Przechodzimy do osoby, już parę razy wspominanej w tej pracy, która czynny udział brała w bitwie maciejowickiej, a była jedną z najbardziej bliskich Naczelnikowi — nie z pokrewieństwa duchowego, bo tego nie było,

ale przez sam tok zdarzeń — do Juljana Niemcewicza. Przyjaciel i adjutant Naczelnika, także ranny, choć nie tak ciężko, w bitwie maciejowickiej, towarzysz jego niewoli i niedoli, którą przebywali razem choć z osobna w więzieniu petersburskiem przez dwa lata, umysł żywy ale nie głęboki, należał do ludzi, dla których ciągle zapisywanie wrażeń i wypadków bieżących było potrzebą duszy, a stało się nałogiem, który go nie opuścił aż do ostatnich chwil życia. Toteż zostawił po sobie tyle wspomnień, pamiętników, opisów podróży, że dotychczas nie zdołano tego wszystkiego zebrać i uporządkować.

Najważniejszemi z tych utworów pamiętnikowych Niemcewicza, z których głównie czerpali historycy są: 1) *Notes sur ma captivité à Saint-Pétersbourg en 1794, 1795 et 1796*, rzecz pisana w r. 1800 w Ameryce, a dająca opis wypadków od bitwy maciejowickiej do uwolnienia więźniów polskich przez cesarza Pawła; wydał ją Wydział Tow. Historyczno-literackiego (właściwie Karol Sienkiewicz) w Paryżu wkrótce po śmierci Niemcewicza w r. 1843; i 2) *Pamiętniki czasów moich*, pisane już po roku 1831, na emigracji, a więc w późnej starości (»w ostatnim szczeblu starości mojej zaczynając to dzieło« — powiada autor), a wydane w r. 1848 przez synowca autora, Karola Niemcewicza. Stosunek jednego utworu do drugiego jest taki, że sędziwy autor, pisząc swoje polskie pamiętniki, miał pod ręką owe francuskie *Notes*, pisane za świeża w Ameryce, w kilka lat po opisywanych wypadkach, i czerpał z nich pełną dłonią. Stąd też więzienny okres jego życia od wzięcia w niewolę pod Maciejowicami aż do wyzwolenia i wyjazdu z Petersburga, tak we francuskim, jak i w polskim pamiętniku przedstawiony jest bardzo żywo, dokładnie, szczegółowo. Ale *Pamiętniki czasów moich* obejmują całe prawie życie Niemcewicza (aż do r. 1829) i tu, poza okresem więziennym, nie miał autor innych źró-

deł prócz własnej osłabionej pamięci, na którą ciągłe słyszymy skargi w *Pamiętnikach*. Miał on wprawdzie zwyczaj, jak już wspomniałem wyżej, zapisywania na świeżo wrażeń z podróży, których tyle odbył w swojem życiu, i ten obfity materjał pamiętnikowy trzymał przy sobie aż do upadku powstania 1831 r., ale gdy po kapitulacji Warszawy musiał nagle razem z sejmem i wojskiem opuścić Warszawę, zostawił to wszystko razem z całem swojem mieniem ruchomem na łaskę i niełaskę losów.

W *Pamiętnikach* na str. 212 czytamy: »Nie jestem w stanie opisywać powstania Kościuszki z pamięci, pozbawiony potrzebnych mi materjałów«, a na str. 220 znajdujemy uwagę: »Opisywania moje odtąd będą dokładniejsze, niespodziewanym bowiem przypadkiem zachowane od grabieży moskiewskiej notatki więzienia mego na Moskwie, tu mi (t. j. do Paryża) cudem przesłane zostały. Z tych ja to, co poniżej, wyciągam«. (Jest to właśnie ów rękopis francuski, który potem wydano p. t. *Notes sur ma captivité*). Ukończywszy ten obszerny wyciąg, pisze dalej na str. 309: »Długo rozciągnąłem się nad opisaniem uwięzienia mego w twierdzy ŚŚ. Piotra i Pawła, bo ze wszystkich rękopisów i notatek, to jedno pozostało w całości«. Na początku trzeciej części *Pamiętników*, obejmującej wypadki od wyjazdu z Petersburga do r. 1829, znajdujemy żałosną wzmiankę autora, że utracił wiele rękopisów, »osobliwie dzienniki moje podróżne« — została mu tylko »stara, dziurawa, jak rzeszoto, pamięć«. Podobne skargi powtarzają się i dalej. Na str. 319 czytamy: »Zapisywałem podług zwyczaju mego wszystkie pierwszej żeglugi mojej na oceanie Atlantyckim przygody« (podróż z Kościuszką do Ameryki). Zostały się one z resztą rękopismów moich w Warszawie, Bóg wie, co się z niemi stało«. Na str. 357 uwiadamia czytelnika, że jego podróż do Nantes w r. 1804, a potem druga podróż do Ameryki opisane były »w stra-

conym już podobno dzienniku moim«. Na str. 363 mówi o swoim opisie podróży do Niagary, który został w Warczawie wraz z innemi rękopismami. Wreszcie na str. 408 jeszcze raz wspomina o swoich papierach zostawionych w Warszawie i dodaje: »był tam i Dziennik tego nibyto sejmu koronacyjnego: pewnie zaginął«.

Ale wymienione tu przez Niemcewicza dzienniki i opisy podróży nie wyczerpują bynajmniej tego, co zostało po nim z utworów pamiętnikowych. Przekonać się o tem można z bezimiennego artykułu, umieszczonego w *Przeglądzie Poznańskim* z r. 1858 (T. XXVI) p. t. *Wiadomość o rękopismach pozostałych po Juljanie Ursynie Niemcewiczu.* Podług tej *Wiadomości* rękopisy Niemcewicza w chwili jego śmierci znajdowały się w czterech miejscach: »naprzód w Paryżu wszystkie te, które autor Wydziałowi historycznemu w dziedzictwie zostawił; inne, które się stały własnością księcia Adama Czartoryskiego, inne w odpisach lub we własnoręcznych egzemplarzach pozostałe w Rogalinie u Edwarda hrabi Raczyńskiego, nakoniec część ich znajdowała się w Warszawie w ręku jednej z osób, związkami krwi z autorem związanych« (str. 35). Kto jest ta osoba, autor *Wiadomości* nie wymienia; może to jest ta sama, którą w innem miejscu (na str. 43) oznacza pierwszemi literami A. P. (Aleksander Przeździecki ?), mówiąc o pewnym dzienniku Niemcewicza z lat 1802—1807, że jest »przepisany z jego własnego rękopismu, zostawionego u A. P w Warszawie«. Bądź co bądź, to pewne, że pisząc *Pamiętniki czasów moich*, mógł czerpać tylko z tych pamiętnikowych utworów własnych, które były wówczas w Paryżu, a te, z wyjątkiem *Notes sur ma captivité* i wydanych później przez Januszkiewicza *Podróży historycznych*, odnosiły się prawie wyłącznie do czasów po rewolucji listopadowej. Trzeci jeszcze wyjątek stanowi rękopis z bardzo zaciekawiającym napisem: »Pa-

miętniki warszawskie do odpieczętowania roku 1900«. Znajdowały się wtedy w bibljotece księcia Czartoryskiego [1]). Co się tyczy rękopisów zostawionych w Warszawie, znajdujemy w artykule, o którym mowa, taką tylko krótką wzmiankę: »Co obejmowały rękopisma w Warszawie pozostałe i w czyje ręce przeszły, wiadomo nam nie jest dokładnie« (str. 36).

Najszczegółowiej omówione są rękopisy, zachowane w bibljotece rogalińskiej. Widocznie autor artykułu miał je wszystkie w ręku, odczytywał i, charakteryzując, podnosił w nich to, co mu się wydawało godniejszem uwagi. Jest tych rękopisów kilkanaście. Kilka z nich zawiera w sobie różne utwory literackie Niemcewicza, w innych są przeważnie dzienniki jego i opisy podróży, w różnych czasach odbywanych, na których brak tak narzekał przy pisaniu *Pamiętników czasów moich*. Nas tu obecnie obchodzi jeden tylko z tych pamiętnikowych utworów, niezmiernie ważny dla charakterystyki Kościuszki i jego tragedji maciejowickiej; ale zanim zaznajomię z nim czytelnika, należy się zastanowić nad tem, skąd się on wziął w Rogalinie, skąd się wogóle wzięły rękopisy Niemcewiczowskie w bibljotece rogalińskiej? Pewną wskazówkę w tym względzie daje nam ów bibljograficzny artykuł *Przeglądu Poznańskiego*. Na str. 36, w przypisku, znajdujemy wiadomość, że »nabyte one zostały wraz z jedną częścią bibljoteki Niemcewicza przez ś. p. Konstancję z Potockich hr. Raczyńską, którą wierna do zgonu przyjaźń łączyła z autorem«. Ta wiadomość może trochę dziwić, gdy się

[1]) Obecnie znajdują się w bibljotece XX. Czartoryskich w Krakowie. Tytuł rękopisu: *Pamiętnik życia Juljana Ursin Niemcewicza;* na boku notatka autora, kiedy został rozpoczęty: »d. 2 listopada 1823 w 51 lat po wzięciu przez konfederatów Stan. Augusta«. Jest to wcześniejsza warszawska redakcja dwu pierwszych części *Pamiętników czasów moich*.

zważy, że hr. Raczyńska była rodzoną córką Szczęsnego Potockiego, którego Niemcewicz tak napiętnował w *Bibljі Targowickiej*. Bliższe choć niedostateczne wyjaśnienie można wyciągnąć z korespondencji Niemcewicza, dodanej do życiorysu jego, opracowanego przez ks. Adama Czartoryskiego [1]). W tej korespondencji oprócz listów do księcia są także listy Niemcewicza do Edwarda Raczyńskiego i jego żony. Otóż w liście z 26 września 1835 pisze Niemcewicz do sławnego mecenasa literatury i nauki polskiej w ten sposób (list wyjątkowo pisany po francusku): »Madame la comtesse, dans sa dernière lettre, me propose l'achat de mes manuscrits pour 300 ducats. Je ne marchandrai pas avec mes amis, sur tout lorsque ces documents si précieux doivent être conservés dans un musée aussi important que celui, que vous avez fondé. J'en excepte cependant les manuscrits de ma main, que je désirerais déposer chez mon neveu Thadée; je souhaiterais également que la somme, qui m'est offerte, puisse m'être envoyée le plus tôt possible: les délais à un vieillard de soixante dixhuit ans ne conviennent plus« [2]). W innym liście, pisanym na rok przed śmiercią (z datą 8 stycznia 1840 r.), Niemcewicz przesyła na żądanie Raczyńskiego epitaphium dla jego żony. »Ile zwątlona wiekiem głowa i kulawa muza moja sklecić wiersz potrafiły, posyłam go na rozkaz Wasz.

---

[1]) *Żywot J. U. Niemcewicza* przez X. Adama Czartoryskiego. Wydanie Bibljoteki polskiej w Paryżu. Księgarnia B. Behra. Berlin-Poznań, 1860.

[2]) »Pani hrabina w ostatnim swoim liście proponuje mi zakupienie moich rękopisów za 300 dukatów. Nie będę się targował z przyjaciółmi, zwłaszcza, gdy te tak cenne dokumenty mają być przechowywane w muzeum przez Was założonem, a mającem tak doniosłe znaczenie. Wyłączam tylko rękopisy, pisane moją własną ręką, które chciałbym złożyć u mego synowca Tadeusza; pragnąłbym również, aby suma ofiarowana mi mogła być jaknajprędzej mi przysłaną, bo odraczanie nie jest w interesie starca, liczącego lat 78«.

Najlepsze serce, życie zawsze czynne,
Nigdy ginąć nie powinne,
Wzór przyjaciółki, wzór najlepszej żony
W tym tu głazie wyrażony.
Bodajby w trwaniu wiekami niezłomnym
Służył za przykład potomnym.

Na spodzie: Konst. z P. Ra...«

Otóż na podstawie zebranych tu wiadomości, musimy wnioskować, że między rękopisami, które zakupiła wówczas u Niemcewicza za 300 dukatów hr. Raczyńska, znajdowały się i owe zostawione w Warszawie rękopisy, na których brak tak narzekał Niemcewicz przy pisaniu *Pamiętników czasów moich*. Wprawdzie w pierwszym z przytoczonych listów do Raczyńskiego Niemcewicz wyrażał życzenie, aby to, co było pisane jego własną ręką, a więc między innemi rzeczami i pamiętnikowe jego utwory, było wyłączone ze sprzedanego przezeń Raczyńskim zbioru rękopisów i złożone u jego synowca Tadeusza, ale nie znaczyło to, że wzbraniał im odpisywania tych własnoręcznych pism swoich; wiemy przecież z cytowanego już artykulu bezimiennego *Wiadomość o rękopismach pozostałych po J. U. Niemcewiczu* (Przegląd Poznański z r. 1858, T. XXVI), że w chwili śmierci jego znajdowały się w Rogalinie niektóre pisma jego w odpisach. Co więcej, wiemy z tego samego źródła, że były tam wówczas i autografy jego, co wyraźnie wskazuje, że pierwotne zastrzeżenie Niemcewicza, dotyczące rękopisów własnoręcznych, utraciło w jakiś sposób moc obowiązującą [1]).

---

[1]) »Rękopisma te — pisze bezimienny autor *Wiadomości* — jedne są własnoręczne, drugie w odpisach staraniem Edwarda hr. Raczyńskiego dokonane; żałować przychodzi, iż niektóre z tych odpisów tak niewprawnej i niedbałej ręce powierzone zostały, iż z trudnością możnaby z nich korzystać, chcąc je do druku podać«. *Przegląd Poznański* T. XXVI, str. 36—37.

VIII.

Zapomniany pamiętnik. — Rozwiązanie legendy.

Rękopis Niemcewicza, zachowany w Rogalinie, na który chcę szczególną zwrócić uwagę, jest opisem podróży jego z Petersburga do Sztokholmu, odbytej razem z Kościuszką w r. 1796. Czy on się tam zachował w odpisie, czy w autografie, tego nie wiemy. Tytuł ma: *Dziennik mojej podróży*. Rzecz pisana po francusku, ale znamy ją dotychczas tylko w przekładzie polskim, którego w r. 1858 dostarczył *Przeglądowi Poznańskiemu* syn Edwarda Raczyńskiego, Rogier, właściciel Rogalina, i który wydrukowany został w XXV tomie tego pisma. Pomimo, że od wydrukowania jego upłynęło już 62 lata, umiał on się tak dobrze schować między różnemi artykułami *Przeglądu* że dotychczas uszedł uwagi historyków, którzy pisali o Kościuszce. *Dziennik* zaczyna się od chwili, do której doprowadzone były *Notes sur ma captivité* i druga część *Pamiętników czasów moich*, t. j. od chwili wyjazdu Niemcewicza i Kościuszki z Petersburga. Opowiedziawszy po krótce, jak przejechali przez stolicę nadnewską aż za rogatki, dokąd z rozkazu cesarza Pawła odprowadzał ich adjutant cesarski, Nelidow, i gdzie ich pożegnał, tak pisał dalej Niemcewicz:

»Od owego nieszczęśliwego dnia, w której naszej wolności pozbawieni zostaliśmy, to jest od 26 miesięcy, ujrzeliśmy się po raz pierwszy bez świadków. Obejrzawszy się naokoło, czyli kto z tyłu lub obok pojazdu nie podsłuchuje nas, zaczęliśmy mówić z sobą otwarcie o niewoli naszej ojczyzny, o naszych osobistych cierpieniach i o tem wszystkiem, co się do nich ściągało. Kościuszko dwa zwierzenia mi uczynił, które tu umieszczę. Podczas bitwy

maciejowickiej, gdy już wszystko było stracone i gdy Kozacy już, już go uchwycić mieli, włożył on pistolet w usta, pociągnął za cyngiel, lecz krucica nie wypaliła. W początkach zaś swego uwięzienia w fortecy petersburskiej tak mu życie było zbrzydło, że chciał się głodem umorzyć. Przez pewien przeciąg czasu żywił się tylko kilkoma łyżkami zupy, czem tak skurczył sobie wnętrzności i tak się osłabił, iż co chwila śmierci jego oczekiwano. Wtenczas to przysłano mu poczciwego Rogersona, lekarza dworskiego, który po użyciu największych sztuki swojej wysileń, życie mu uratował, lecz nie zdołał żołądka jego do porządku przyprowadzić i dziś jeszcze dwie filiżanki kawy i uncja mięsa z drobiu stanowią całe jego pożywienie« [1]).

Potem następuje bardzo szczegółowy i bardzo zajmujący opis podróży zimowej przez Finlandję do Sztokholmu, kilkanaście razy obszerniejszy, a stąd i szczegółowszy od tego opisu, jaki jest podany przez sędziwego autora z pamięci, w czterdzieści lat po wypadkach, w *Pamiętnikach czasów moich* (trzem niewielkim stronicom *Pamiętników* odpowiadają 22 duże stronice *Przeglądu*). Ale o ten opis, który podajemy w *Dodatku*, jako rzecz zupełnie nieznaną, t. j. zupełnie zapomnianą a niezmiernie cenną, obecnie tu nie chodzi, tylko o dwa owe zwierzenia Kościuszki, które rzucają nowe światło na tragedję maciejowicką, a raczej na tragedję, jaka się odgrywała w duszy Naczelnika w chwilach poprzedzających klęskę.

Kościuszko przed wybuchem powstania 1794 r., znając dobrze materjalne i duchowe zasoby narodu i konstelację polityczną Europy, nie miał ufności w powodzenie, w danej chwili, orężnej rozprawy z Moskalami i dlatego nie chciał przyjmować naczelnego dowództwa, które naród z całą ufnością i zapałem w jego ręce składał, pomny

---

[1]) *Przegląd Poznański* 1858. T. XXV, str. 438—9.

jego zwycięstw w obronie Konstytucji 3-go maja. W tem są zgodne wszystkie świadectwa historyczne. Ale kiedy mu przedstawiono najdowodniej, że powstanie tak czy owak, to jest jeżeli nie pod jego, to pod czyjemś innem dowództwem, musi wybuchnąć i że żadne inne imię nie zdoła wzbudzić tyle ufności w narodzie, co jego, uznał za swój obowiązek poddać się woli powszechnej i stanąć na czele powstającego narodu, aby nie zmniejszać szans jego zwycięstwa. Czuł też niewątpliwie, że dla przyszłości narodu gorszą od przegranej rzeczą byłoby bierne poddanie się najeźdzcom, polityka, której przedstawicielem był Stanisław August, i dlatego, znalazłszy na rynku krakowskim dnia 24 marca 1794 r. niewielką garstkę tych, z którymi miał rozpoczynać powstanie, powiedział zcicha do kilku bliżej stojących zaufanych swoich: »zamało nas, panowie bracia, aby zwalczyć trzy mocarstwa, ale zawżdy dosyć, żeby bez czci nie zginąć« [1]. I w pierwszym uniwersale do narodu, tegoż dnia wydanym, tak kończył swoje wezwanie do powstania: »Biorę z wami, ukochani koledzy, za hasło: Śmierć albo zwycięstwo! Ufam wam i temu narodowi, który zginąć raczej postanowił, aniżeli dłużej jęczeć w haniebnej niewoli«. Naturalnie przez wyrazy »ten naród« rozumiał Kościuszko nie cały naród ze wszystkiemi jego nieuświadomionemi warstwami, ale tych wszystkich patrjotów, którzy go powoływali do objęcia naczelnej władzy. Otóż to hasło: Śmierć albo zwycięstwo! w zastosowaniu do całego narodu niemożliwe, — w zastosowaniu do pojedynczej osoby nie było dla Kościuszki nieobowiązującym frazesem. Ponieważ podjął i rzucił takie hasło, chciał mu pozostać wiernym i postanowił nie przeżyć klęski powstania, któremu przewodził. Było to zupełnie zgodne

---

[1]) Stan. Wodzicki: *Wspomnienia z przeszłości.* Kraków 1874, str. 329.

z jego charakterem, w którym nie było rozdziału między słowem, przekonaniem a czynem, a jeżeli niekiedy wzgląd na dobro przyjaciół lub narodu (jak np. w sprawie przyjęcia dobrodziejstw z ręki cesarza Pawła) zmuszał go do odstępstwa od tej zasady, stawało się ono dla niego źródłem najgłębszych cierpień moralnych. Więc kiedy ujrzał zupełny pogrom swojego wojska i widział, że za chwilę musi się dostać w ręce kozaków, goniących za nim, wyjął krucicę, włożył w usta i pociągnął za cyngiel Krucica nie wypaliła, a wtem nadbiegli kozacy i zadali mu ciężkie rany, które mu odebrały przytomność. Wszystko to stało się błyskawicznie, ale na szczęście została Kościuszce pamięć tej chwili i przekonanie, że jeśli nie spełnił tego, co zapowiadał w uniwersale, co przyrzekł sobie i o czem napomykał innym, to jest, jeżeli doznawszy klęski został przy życiu i znalazł się w rękach wrogów, to stało się to nie z winy jego woli, tylko z winy przypadku. Pamięć o tem niewątpliwie stanowiła pewną ulgę dla niego w strasznych udręczeniach fizycznych, a straszniejszych jeszcze moralnych, przez jakie przechodził w swojej długiej podróży do Petersburga i podczas dwuletniego tam więzienia. Więc kiedy się znalazł, po raz pierwszy od owej tragicznej chwili, zupełnie sam na sam z przyjacielem, uczęstnikiem klęski i niewoli, uczuł potrzebę zwierzyć się mu z tego, ulgę przynoszącego, wspomnienia. Ale Niemcewicz, którego natura była zupełnie różną od natury Kościuszki, nie zrozumiał wagi tego zwierzenia, przyjął je, jak płyta fotograficzna przyjmuje każdy obraz, który na nią padnie; zapisał wiernie na papierze, ale nie utkwiło mu ono pomimo swego głębokiego znaczenia w pamięci i, kiedy się rozstał z tym fragmentem swego pamiętnika podróży (układanego, jak się zdaje, z luźnych notat z podróży w Sztokholmie), zupełnie zapomniał o tych zwierzeniach Kościuszki i nie wprowadził ich ani do *Notes sur*

ma captivité, co zresztą da się usprawiedliwić względami chronologji, ani do *Pamiętników czasów moich*, pisanych w starości, które obejmowały i podróż z Petersburga do Szwecji. A ponieważ fragment owej podróży, drukowany w r. 1858 w *Przeglądzie Poznańskim*, nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi, więc owe zwierzenia Kościuszki, właściwie dopiero dzisiaj, po 124 latach od ich wypowiedzenia, wychodzą na jaw, na horyzont historyczny, aby rzucić nowe światło na tragedję Kościuszki pod Maciejowicami i rozwiązać legendę, z tą tragedją związaną.

Więc nie wykrzykiem: *Finis Poloniae* kończyła się owa tragedja, ale gestem Naczelnika, gestem, który wskazywał, że chce być wiernym przyjętemu wraz z innymi patrjotami hasłu: Śmierć lub zwycięstwo! i nie chce przeżyć klęski narodu.

Należy jeszcze dodać, że to zwierzenie raz tylko wyszło z ust jego, w szczególnej chwili rozrzewnienia, gdy się znalazł po raz pierwszy po odzyskaniu wolności sam na sam z towarzyszem niedoli. Nie powtórzył go potem nikomu, nawet Paszkowskiemu, którego tak lubił, bo gdyby było inaczej, Paszkowski nie omieszkałby tego szczegółu wprowadzić do swoich *Dziejów Tadeusza Kościuszki*, zwłaszcza, że go do tego pobudzałaby bardzo ważna okoliczność przy opowiadaniu sprawy z Ponińskim w Paryżu: wszak Poniński w drugim liście do Kościuszki przypominał z wyrzutem słowa jego, że ma pistolety, które go od niewoli ochronią [1]). Widocznie Kościuszko rozumiał, że wyjawiać przed światem swój zamach na własne życie, ażeby okazać, że został wiernym przyrzeczeniu złożonemu wobec narodu, zamach, udaremniony przypadkiem, mógłby się wydawać próżną chełpliwością, i milczał, a w tem dostojnem milczeniu malowała się dusza wielkiego obywatela.

[1]) Paszkowski: *Dzieje Tad. Kościuszki* str. 173.

I tu jeszcze raz warto zwrócić uwagę na stanowisko dwu naszych największych poetów względem Kościuszki, bardzo charakterystyczne. Słowacki brał z legendy motyw, w którym się odbił własny jego pesymistyczny pogląd na naród. Mickiewicz, podając portret Kościuszki w *Panu Tadeuszu*, uwydatnił w nim moment największego podniesienia ducha, moment, budzący wiarę w przyszłość narodu, a odpowiadający własnej wierze poety; a przenosząc do przysięgi to, czego w przysiędze nie było, ale co było we współczesnym uniwersale Naczelnika (»Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów — Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów — Albo sam na nim padnie«), chwytał najistotniejszą treść duszy bohatera i przeczuł to, o czem sam nie wiedział, co dziś dopiero występuje przed nami, jako fakt historyczny, że tylko przypadkiem się to stało, iż Kościuszko, wierny przyjętemu hasłu: Śmierć albo zwycięstwo! nie odebrał sobie życia przed dostaniem się w ręce wroga pod Maciejowicami.

DODATEK.

DZIENNIK MOJEJ PODRÓŻY.

(Rzecz drukowana w *Przeglądzie poznańskim* t. XXV, 1858 r., p. n. *Podróż Juljana Ursyna Niemcewicza z Petersburga do Ameryki w r. 1796; z francuskiego oryginału na język polski przełożona*).

Opuściliśmy Petersburg 10 grudnia 1796 roku. Mostowski, Wawrzecki[1]) i kilku innych przyjaciół odwiedziło nas jeszcze raz przed wyjazdem naszym. Przyjaźń wzmocniona wspólnością nieszczęść i długiemi cierpieniami, myśl rozdziału, może wiecznego, bardzo bolesnem uczyniły pożegnanie nasze. Doktor Rogerson[2]), któremu mój przyjaciel jenerał Kościuszko winien był życie, przybył gdyśmy do pojazdu siadali — uściskał on swego pacjenta i udzielił mu jeszcze rad ostatnich, a nadto dał mu na drogę paczkę z lekarstwem, krople, proszki i t. d. Wyjechawszy z wspaniałej dzielnicy admiralicji, przebyliśmy Newę i znaleźliśmy się w przeciwległej części miasta, której drewniane domy, wyglądające na chaty, tak sprzeczny przedstawiają widok w porównaniu z temi wspaniałemi gmachami, któreśmy podziwiali na przeciwnym brzegu. Gdyśmy przebyli rogatki, pan Ne-

[1]) *Mostowski Tadeusz*, jeden z najgorliwszych i najświatlejszych działaczy patrjotycznych z czasów Konstytucji 3-go maja, i *Wawrzecki Tomasz*, po bitwie maciejowickiej obrany Naczelnikiem narodu, po kapitulacji Warszawy zostali uwięzieni i wywiezieni do Petersburga, gdzie przebywali w więzieniu aż do wstąpienia na tron Pawła I.

[2]) *Doktor Rogerson*, rodem Anglik, był nadwornym lekarzem naprzód przy Katarzynie II, potem przy Pawle I i poznawszy zblisk a charakter Kościuszki, żywił uczucia głębokiej czci dla niego.

lidow, adjutant cesarski, którego monarcha przysłał był dla odprowadzenia za miasto jenerała, pożegnał nas. Kościuszko prosił go, aby zechciał być tłumaczem jego wdzięczności najżywszej za wszystkie dobrodziejstwa Najjaśniejszego Pana i wszystkie dowody szlachetności i łaski, któremi go obsypał [1]. W tej to właśnie chwili spostrzegliśmy, że nam zginął chiński szlafrok jenerała.

Od owego nieszczęśliwego dnia, w którym naszej wolności pozbawieni zostaliśmy, to jest od 26 miesięcy, ujrzeliśmy się po raz pierwszy bez świadków. Obejrzawszy się naokoło, czyli kto z tyłu lub obok pojazdu nie podsłuchuje nas, zaczęliśmy mówić z sobą otwarcie, o niewoli naszej ojczyzny, o naszych osobistych cierpieniach i o tem wszystkiem, co się do nich ściągało. Kościuszko dwa zwierzenia mi uczynił, które tu umieszczę. Podczas bitwy maciejowickiej, gdy już wszystko było stracone, i gdy Kozacy już, już go uchwycić mieli, włożył on pistolet w usta, pociągnął za cyngiel, lecz krucica nie wypaliła. W początkach zaś swego uwięzienia w fortecy petersburgskiej tak mu życie było zbrzydło, że chciał się głodem umorzyć. Przez pewien przeciąg czasu żywił się tylko kilkoma łyżkami zupy, czem tak skurczył sobie wnętrzności i tak się osłabił, iż co chwila śmierci jego oczekiwano. Wtenczas to przysłano mu poczciwego Rogersona, lekarza dworskiego, który po użyciu największych sztuki swojej wysileń życie mu uratował, lecz nie zdołał żołądka jego do porządku przyprowadzić, i dziś jeszcze dwie filiżanki kawy i uncja mięsa z drobiu stanowią całe jego pożywienie.

Gościniec, który prowadzi do Finlandji, przechodzi przez okolicę pustą, jałową, najsmutniejszą z tych wszystkich, które stolicę otaczają. Nie ujrzysz w niej ani domów wiejskich, ani ogrodów, nie spotkasz na drodze ani pojazdów, ani wozów, tak licznych w bliskości miast wielkich; wzrok podróżnego zatrzymuje się tylko na skarłowiałych sosnach, lub na ułamkach skalistych. O piętnaście werstw spotkaliśmy pułk piechoty wüburgskiej [2], który otrzymał rozkaz przeniesienia się na kwaterę do Moskwy. Zimno będzie tym panom, mówię o żołnierzach, bo co do oficerów, wiadomo jest, jak wygodnie

---

[1]) *Cesarz Paweł I*, który nienawidził swojej matki Katarzyny II, zaraz po jej śmierci nietylko wyzwolił Kościuszkę z więzienia, ale mu sam to wyzwolenie oznajmił i obsypał go wielu rozmaitego rodzaju darami, do których należała i wielka kareta podróżna.

[2]) *Wyborg* (w pierwodruku błędnie Wüburg albo Wübourg), jest to najważniejsze miasto w Finlandji południowo-wschodniej, która od pokoju w Nystadt (1721) stale należała do Rosji.

podróżują. Cóż to za mnóstwo pojazdów, koczów, woźnic, kibitek które postępują za oddziałem wojsk rosyjskich, tak w czasie wojny jak w czasie pokoju. Bardzo tu obficie jest śniegu, nasz dom, to jest nasz pojazd, jest wygodny lecz bardzo ciężki, ledwieśmy tego pierwszego dnia jedną stację ujechali. Gdyśmy na niej stanęli, wszczęła się kłótnia między naszymi aniołami stróżami [1]) a poczmistrzem, mówiono, że się bez policzków nie obeszło. Zgoda nastąpiła bez krwi przelewu. Libiszewski, czekając na wieczerzę, śpiewał nam i grał na gitarze [2]). Siedliśmy nakoniec do obiadu czy do wieczerzy, jak się komu podoba. W nocy przebudzony zostałem trzy czy cztery razy wizytą kilku królików. Samiczka z pięcioma czy sześcioma króliczkami upodobała sobie spacer po mojem ciele, z trudnością się jej pozbyłem. O czwartej obudziłem się, szczęśliwy, że już nie byłem w więzieniu.

Chociaż byliśmy o jedną tylko stację od Petersburga, już nie widzieliśmy nigdzie Moskali, już ich mowy prawie nie słyszeliśmy. Gospodarz był Niemiec, gospodyni Niemka, służba cała, równie jak ludność, składała się z Finnów. Czyż to nie jest bardzo szczególnem, że stolica najobszerniejszego państwa w świecie otoczoną jest prowincjami cudzoziemskiemi; Finlandja, Inflanty tyle mają podobieństwa w mowie, w wierze, w obyczajach do Rosjan co i do Francuzów. Czemże to jest to państwo? Co za spieszny wzrost jego sił, jego przewagi w Europie, czemże było w zeszłem stuleciu? czyż nie przypomina złudzenia i przemijającej wspaniałości widowiska teatralnego, — może też równie krótko jak to widowisko trwać będzie.

Dwudziestego wyjechaliśmy bardzo rano. Śnieg ogromny, zimno niezmierne, na pierwszej stacji złamał się nam dyszel, posty-

---

[1]) Kapitan *Karpeen* (raz w pierwodruku także *Korpeen)* i major *Udom,* jako znający dobrze Finlandję, mieli polecenie od cesarza Pawła, troskliwego o zdrowie i wygody Kościuszki, towarzyszyć temu ostatniemu aż do Szwecji i usuwać wszelkie trudności w ciężkiej podróży zimowej. Dlatego nazywa ich Niemcewicz tu i w innych miejscach pamiętnika »naszymi aniołami stróżami«.

[2]) O *Libiszewskim,* bez podania źródeł, powiada Korzon *(Kościuszko,* str. 481): »Z dobrej woli oprócz Niemcewicza ofiarował się jechać aż do Ameryki Libiszewski, młody, hoży i mocny oficer polski, Wielkopolanin rodem, który już towarzyszył w drodze do Petersburga Wawrzeckiemu, również dobrowolnie. On to sam jeden przenosił Kościuszkę do powozu lub na sofę i zabawiał swoim talentem muzycznym: grał przedziwnie na waltorni i śpiewał przyjemnie«. Z dziennika podróży niniejszego, którego Korzon nie znał, dowiadujemy się, że umiał on grać i na innych instrumentach; znajdujemy też tam próbki jego dobrego humoru i apetytu.

ljony finlandzkie nie mają ani zręczności ani wprawy rosyjskich. Niech się co chce stanie z pojazdami i z podróżnymi, oni nieporuszeni i szpetni, jak bożki egipskie, ani się nawet schylą, ażeby naprawić szkodę, której sami byli sprawcami. Tego dnia zaledwieśmy dwie stacje ujechali. 21-go taki sam śnieg, takie samo zimno i taka sama powolność. Na noclegu spotkaliśmy 30 Polaków, którym dobry cesarz Paweł powrócił wolność. Razem z 600 towarzyszami swymi byli oni na wygnaniu na wyspie opustoszałej i niezdrowej, nazwanej Kotka. Dawano im zaledwie parę kopiejek na dzień, a skazani byli na najprzykrzejsze prace, które zapełniały wszystkie godziny ich nieszczęśliwego żywota. Kiedy więc wspaniałomyślna i pobożna Katarzyna, której łaskawość głosili mniemani filozofowie, której wielkość duszy szczególniej gazety wychwalały, której uśmiech uroczy napawał rozkoszą i wzbudzał podziw tych wszystkich, którzy ją otaczali; kiedy, mówię, Katarzyna w Hermitażu[1]) swoim poczciwej i dobrodusznej kobiety odgrywała rolę, tysiące tysiąców nieszczęśliwych, którzy nie ulegali jej berłu, zaludniało lodowate stepy sybiryjskie, napełniało więzienia i, pozbawieni wszelkiej pociechy, jęczeli nad zagładą ojczyzny i upadali pod ciężarem niedoli. Jenerał wspomógł tych nieszczęśliwych dawnych towarzyszów broni i pieniężnym datkiem i zapasami żywności.

Jest to coś okropnego podróżować w miesiącu grudniu w 61 stopniu szerokości. Wstaje się o czwartej zrana, kładzie się suknia na suknię i futro na futro, staje się człowiek ogromnym, ciężkim i bez żadnego kształtu klocem, każe się zapakować do pojazdu, zaledwie odetchniesz, oddech marznący przylepia ci futro do twarzy. Ujechałeś pół werstwy, zatrzymuje się pojazd. Poco? dlaczego? Oto droga zasypana na ośm stóp śniegu, jechać dalej nie można. Wysiadają wszyscy z pojazdu, po pas toną w śniegu, ani głośne hi! hi! ha! ha! ani biczowanie nieszczęśliwych koni nie pomagają. Traci się tak godzinę lub dwie, nakoniec około dziewiątej rozwidnia się, posyłają po konie chłopskie i, gdy te nadejdą, wyciągają nas z przepaści. Oto jest tryb codzienny naszego spiesznego podróżowania pocztą; tak też i tego dnia cztery godziny straciliśmy w zaspie śniegowej, nimeśmy się dowlekli do Wübourga.

Wübourg, miasto dawniej szwedzkie, zaczyna się nieco podnosić po pożarze, który je przed trzema latami zniszczył. Stanęliśmy

---

[1]) *Ermitage* (t. zn. pustelnia), pałacyk w stylu Ludwika XV, założony przez Katarzynę II w r. 1765 obok Pałacu Zimowego, potem rozbudowywany i zamieniony na muzeum sztuk pięknych.

w domu, będącym własnością jednego z krewnych kapitana Karpeen który nam był dodany. Był to dom obszerny, w pokoju bawialnym naokoło ścian ustawione były wielkie kufry z sukniami i bielizną. Jest to zwyczaj niemiecki, pochodzący w części z zamiłowania porządku, które ich odznacza, w części z chęci popisywania się z dostatkami. Zastaliśmy tam zebranych kupców z miasta i od nich dowiedziałem się, że główny handel prowadzi Wübourg tarcicami sosnowemi. W czasie pokoju do 150 okrętów przypływa po nie, podczas wojny obecnej ledwie 80. W zamian za nie otrzymują mieszkańcy sól, tak potrzebną w kraju, który się szczególniej solonem mięsem i rybami żywi. Miastem tem rządzi gubernator i naczelnik wojenny. Katarzyna II, stosownie do rady Machiawela *divide et impera*, rozdzieliła we wszystkich prowincjach władzę między dwóch rządców; ich atrybucje, nie będąc dostatecznie określonemi, stają się niewyczerpanem źródłem sporów i wzajemnej zazdrości; ciągle się z sobą kłócą, a lud biedny bywa zawsze ofiarą ich niezgody. Odwiedzałem obydwóch tych panów. Gubernator, kniaź B..., jest o tyle pogardzonym, znienawidzonym, o ile naczelnik wojenny, jenerał Wrangel, jest kochanym i szanowanym. W przedpokoju kniazia zastałem pełno oficerów, ordynansów, lokai, a w wielkiej sali z zadziwieniem znalazłem zbiór najpiękniejszych sztychów angielskich, obok zaś bibljotekę bardzo liczną. Dowiedziałem się później, że pierwsze były wzięte na kredyt, a że do drugiej nigdy kniaź nie zaglądał. Nie potrzeba się pytać, dlaczego on te wszystkie zbiory zgromadzał; każdy wie, że próżność i wystawa stanowią główne rysy charakteru Rosjan. Dozwolony miałem zaszczyt oglądania osoby jego kniaziowskiej mości i jego dostojnej małżonki. Jak czułe stadło siedzieli oboje przy kominie, kniaź odznaczał się bladością błękitnawą, kniaziowa miała cerę bardzo pięknego żółtego koloru, oczy małe, usta bardzo szerokie, dzielące na dwie równe części jej twarz długą i chudą. Przyjęli mnie z tą uprzejmością słodziutką, która jest oznaką nieszczerości i obłudy. Książę zdawał mi się pomieszanym i niespokojnym, zasłyszał on coś o zamiarze cesarza zniesienia urzędu gubernatorów. Widać było, że obawa postradania swego miejsca, równie jak niespokojność złego sumienia, dręczyły go niemiłosiernie. Mówią, że ta śliczna para kłóci się często na dobre, kniaziowa poczęstuje nieraz jaśnie oświeconego małżonka porządnemi policzkami, on się jej odpłaca podobną grzecznością i często kopnie ją nogą, gdzie się zdarzy. Jednakże te dwie zacne osoby bardzo przystały do siebie, zgoda wkrótce następuje i pogoda po burzy nastaje.

Naczelnik wojskowy, jenerał Wrangel, jest bardzo zacnym starcem, z wyrazem otwartości na twarzy. Żona jego płeć ma bardzo białą, tuszę potężną, widać, że była piękną. Mówią, że w wysokim stopniu posiada dar muzyki i pielęgnuje chorowitego męża z troskliwością prawdziwie rozczulającą. Ci dobrzy ludzie przyrzekli nam ułatwić dalszą naszą podróż. Potrzebowaliśmy ich pomocy, bo doświadczenie nas nauczyło, że dwanaście koni i więcej nawet, których używaliśmy, nie mogły nieraz po drogach zasypanych śniegami uciągnąć naszego pojazdu. Trzeba było szukać innego sposobu. Pojazd więc i koła włożono na sanie. Potrzebowaliśmy do niego i do kibitki naszej jedenaście koni. Robotnicy wzięli się więc do pracy, wszystko ma być gotowe jutro na południe.

Odwiedził nas gubernator, wieczór przepędziliśmy z naszymi wübourgskimi kupcami; kilku tych panów pochodziło z Inflant, i ich poprzednicy i oni wszelkiego dokładali starania, aby w towarzystwie wytępić język szwedzki a niemiecki zaprowadzić, Rosjanie z swojej strony usiłują upowszechnić mowę ruską, i aż nadto dobrze im się powiodło. Bardzo malo już tu używają języka ojczystego. To spostrzeżenie zasmuciło mnie, gdym myśl zwrócił na przedmiot, który wyłącznie mnie zajmuje. — Niestety! — pomyślałem, — jeżeli moja nieszczęśliwa ojczyzna nie ma już powstać, kto wie, czy mowa polska nie zaginie. Młodzież uczyć się będzie u nauczycieli rosyjskich lub niemieckich, będzie służyć w wojskach tych mocarstw, kobiety, które już dawniej przenosiły francuzczyznę nad mowę ojczystą, z równą płochością pójdą za nową modą, język nasz wytępiony zostanie; ale nie, — nic go wytępić nie zdoła, odezwał się glos z głębi serca. Jest ktoś, kto go zachowa — i któż taki? Oto lud wiejski, ten to lud jest prawdziwym Narodem.

24 grudnia. Opuściliśmy miasto w południe, najawszy furmana aż do Abo, dla tem większego bezpieczeństwa. Gubernator dodał nam oficera, który miał być naszym przewodnikiem wśród bagien, których bez niebezpieczeństwa przebyć nie można. Wieczorem zaprosiliśmy oficera do naszej wieczerzy. Wymówił się postem piątkowym i twierdził, że w ten dzień samym suchym chlebem się żywi. Nie był on suchy, bo myśląc, że zgrzeszy, jedząc ser, nie sądził, że grzech popełnia, upijając się porządnie. Na drugi dzień, gdy miał rozstać się z nami, naradzaliśmy się, jakby go wynagrodzić za trud dla nas podjęty. »Dajcie mu dukata«, rzekł do nas major Udom. »Jakto, dać jakby na piwo oficerowi«, zawołałem z zadziwieniem. »Bardzo będzie szczęśliwy z tego tringeldu«, dodał kapitan Karpeen. »Oto jest dukat, daj mu go pan — rzeklem — bo ja nie śmiem wy-

stawiać się na odmowę i oburzenie, jakie podobny podarunek wywoła«. Któż temu wierzy, dano mu dukata i przyjął go z oznakami wdzięczności, które zaszczyt może czyniły jego sercu, lecz nie jego mundurowi.

Nic nie powiem o żyzności ziemi, o położeniu kraju, nic o tem wszystkiem, co zwykle zajmuje uwagę podróżnika. Zima osłoniła płaszczem śnieżystym ziemię, wody, drzewa. Dostrzec można było gdzieniegdzie wielkiej bryły granitu czerwonego, wierzchołki skał wystawiały swoje łyse szczyty, gałęzie sosen i cisów uginały się pod ciężarem śniegu i łamały się z hałasem. Zresztą wszędzie milczenie i zlodowaciała martwość. Podróżny, który kraj ten przebiega, wspomniawszy na tutejszą zimę, sześć lub siedm miesięcy trwającą, ubolewać musi nad losem mieszkańców jego, lecz niechże ich samych bada a przekona się, że oni uważają Finlandję za najpiękniejszą i najprzyjemniejszą krainę w świecie. Miłość ojczystej ziemi, przyrodzona człowiekowi, jest największem dobrodziejstwem natury, lecz też, niestety! czy może być okrutniejsze nieszczęście i sroższa męczarnia nad wieczne z tej drogiej ziemi wygnanie.

Nocowaliśmy w domu starego oficera uwolnionego od służby. Wznosił się ten dom na brzegu zatoki finlandzkiej i z niego przedstawiały się prawdziwie malownicze widoki. Czystość i porządek wszędzie w nim panowały, gospodarz oddany jest zupełnie swemu gospodarstwu, był wesoły i zdawał się szczęśliwy, nie musi nim być jednak zupełnie, bo jest sam, nie ma ani żony ani dzieci, któreby dzieliły jego troski i przyjemności. Opowiadał on nam, że podczas ostatniej wojny [1]) Szwedzi wylądowali na te brzegi, na których stoi dom i ciągnie się wieś jego, że spalili magazyn wojskowy, zagwoździli kilka armat, lecz że ani jedna chata wiejska nie ucierpiała od nich. Zapewniał nas, że wszędzie w ten sam sposób postępowali i że wszędzie prowadzili wojnę szlachetnie i po ludzku. »Nie tak to wojował Karol XII w naszym kraju«, — rzekłem do owego ex-wojskowego. — »Ani my także, Rosjanie«, odpowiedział mi. »Wiemy, jakich się okropności dopuściły u was nasze wojska, a tu, skorośmy tylko na ląd szwedzki wysiedli, wszystkośmy rabowali, otwieraliśmy nawet groby i obdzieraliśmy trupy«. Późnośmy wieczerzali, gdyż na odmrożenie naszych wiktuałów wiele czasu potrzeba było, mięso

---

[1]) Ostatnią wojną, o której tu mówi Niemcewicz, była wojna szwedzko-rosyjska, trwająca od 1788 do 1790 r. Panujący wówczas Gustaw III, pomimo chwilowego buntu swego wojska, odparł szczęśliwie najazd rosyjski na szwedzką Finlandję.

toporem musieliśmy rąbać, kilka butelek wina i piwa pękło nam, wydobyto z nich kawałki różnokolorowego lodu.

26 grudnia. Nazajutrz przejeżdżaliśmy przez Frederikshamm; jest to ostatnie miasto Finlandji rosyjskiej. Gustaw III byłby je był opanował, gdyby nie bunt jego wojska. Oberżystka, sto lat blisko wieku licząca, wyszła naprzeciw jenerała z prośbą, aby na chwilę wstąpił do niej. Chociaż był mróz 24 stopni, miała ona na sobie tylko perkalikową suknię, nie bała się ani kaszlu ani kataru. Okazawszy nasze paszporta, pojechaliśmy dalej. Nocowaliśmy w Tawastilla; miejsce to pamiętnem się dla nas stało, mieszka tam bowiem najpiękniejsza osoba, jaką w życiu spotkać mi się zdarzyło; jest ona córką wdowy po jednym kupcu z Frederikshamm, która się utrzymuje z małej własności ziemskiej. Ta śliczna istota nie miała więcej nad lat szesnaście, kibić jej cudowna, twarz urocza, czaruje ona i rozumem i wdziękiem. Kto zerwie ten tak piękny kwiatek? Pewnie jakiś kupiec, albo oficer. Wolałbym, aby została kupcową, byłaby szczęśliwszą i mniej na niebezpieczeństwo wystawioną. Niechże się z nią ożeni praporczyk lub kapitan, zaraz go zaczną pułkownicy i jenerałowie odwiedzać, a o jakiejkolwiek godzinie zawitaliby do niego, podwładny nie może im drzwi przed nosem zamknąć bez uchybienia subordynacji wojskowej. Zaprosiliśmy naszą gospodynię i jej śliczną córkę do nas i razem przebyliśmy wieczór, ożywieni wejrzeniem czarującego oka i uśmiechem ust koralowych. Źleśmy wywdzięczyli się za tyle gościnności i przyjemności, budząc dom cały o trzeciej z rana, lecz taka była reguła; ruszyliśmy więc dalej, a imię panny Małgorzaty Stevens powtarzaliśmy często i w naszych rozmowach i przy naszych toastach. — Spieszniej, jak dni poprzedzających, jechaliśmy dnia tego, zbliżyliśmy się do granicy jeszcze przededniem, mimo ciemności nocnej uważaliśmy silne reduty, które Rosja blisko granicy wzniosła, chcąc się zabezpieczyć od napadów szwedzkich. Nie można się dziwić tym środkom ostrożności, lecz godnem jest podziwu, iż Katarzyna tajemnie zawarowała sobie warunek, że jej wolno będzie umacniać swoją granicę, kiedy zastrzeżonem zostało, że Szwecja najmniejszej forteczki w tej stronie wystawić nie ma, co się w pospolitej mowie znaczy: Tobie nie jest dozwolone zuchwalstwo najścia mojego terytorjum, a mnie, najjaśniejszej cesarzowej wszech Rosji, wolno jest każdego czasu kraj twój opanować. — Rzeka, zdaje mi się, Kymene nazwana, oddziela Finlandję rosyjską od szwedzkiej [1]). Z jakiem wzruszeniem ujrzeliśmy

[1]) Niemcewicz nie myli się: rzeka *Kymene* w istocie stanowiła wówczas granicę między rosyjską a szwedzką Finlandją.

się na ziemi szwedzkiej! Wprawdzie więzy nasze były już zerwane, jednakże jeszcześmy dotąd ciągnęli za sobą kawałki łańcucha, teraz zdawało nam się, żeśmy ostatnie jego ogniwa na drugim brzegu rzeki zostawili. Uściskaliśmy się wzajemnie ze łzami w oczach; był to ten sam kraj, ta sama pora roku, jednak wszystko inną dla nas przybrało postać. Krajobraz zdawał nam się weselszy, domy ładniejsze, ludzie śmiało na nas spoglądali i jak z bliźnimi rozmawiali. — Wyrwałem się więc z twych szponów, Rosjo! sprawczyni wszystkich nieszczęść mojej ojczyzny i kraju, gdziem przez dwadzieścia sześć miesięcy jęczał w najokropniejszem więzieniu, z którego nigdy nie byłbym wyszedł, gdyby śmierć nie była wydarła berła z rąk Katarzyny, aby je przenieść w dłonie dobroczynne Pawła I... Wcześnie dnia tego przybyliśmy do Lowisa.

Jest to ładne miasteczko, niedaleko morza zbudowane; handluje, tak, jak prawie wszystkie finlandzkie miasta, tarcicami, smołą, dziegciem, czasem sprzedaje także żyto. Domy są drewniane, bardzo porządne i wszystkie na czerwono malowane. Używają do tego ziemi czerwonej, którą tam wszędzie znajdują, i którą rozprowadzają mętami z oleju lub polewką od śledzi. Tym sposobem ochraniają drzewo od wpływu powietrza. Poszedłem do gubernatora miasta, barona Stackelberg, dla oddania mu listu polecającego nas. Co za różnica między nim a kniaziem B., gubernatorem Wübourga. Zamiast tłumu sług, zastałem tylko jedną służącą, która jest razem kucharką, która zwiastowała moje przybycie i drzwi mi otworzyła. Zamiast przedpokoi, pokoi i sal — znalazłem tylko małą izbę z alkową, zamiast postaci wymuszonej i upstrzonej różnemi wstęgami — ujrzałem witającego mnie szanownego starca; dobroć i otwartość malowały się na jego twarzy. W kwadrans czasu rozmawialiśmy z sobą, jakby dawni znajomi. Ten zacny człowiek udręczony jest bardzo bolesną chorobą kamienia. Nazajutrz wróciłem do niego i dałem mu adres Rogersona, lekarza cesarskiego w Petersburgu, który mu najskuteczniej na cierpienia jego będzie mógł pomóc. Jenerał posłał gubernatorowi butelkę starego węgrzyna, a ten go udarował parą głuszców; obydwa bardzo żałowali, że, wstrzymani każdy swemi dolegliwościami, nie mogli się odwiedzić i zabrać z sobą znajomości. Poczty w Szwecji dobrze utrzymują, lecz są one ciężarem włościanom, szczególniej w czasie żniw. Każda wieś obowiązana jest przysyłać kolejno cztery konie, które stoją przy domu pocztowym i czekają na podróżnych. Gdy ci większej ich liczby potrzebują, a nie chcą być zatrzymywani na każdej stacji, powinni naprzód wyprawiać *Forbode,* to jest kurjera, który, poprzedzając ich o godzin kilka,

konie zamawia. Idąc za radą barona Stackelberg, najęliśmy takiego kurjera, który nam usługiwał aż do Abo.

W Lowisa piliśmy po raz pierwszy lekkie piwo, zwane *Swadnika*, bardzo zdrowe i niezmiernie smaczne. W całym kraju jedzą tu chleb, knicka-broë nazwany; jest to ciasto żytnie, płaskie, w środku przedziurawione; nakłada się te placki na długie tyki; można w każdym domu szwedzkim liczne takie tyki z takiemi plackami napotkać. Kapitan Kärpeen zastał w Lowisa jednego z swoich stryjów, który w dniu następnym córkę za mąż wydawał, i wymógł na synowcu, aby pozostal na weselu; — został więc, a my pojechali dalej.

W Finlandji szwedzkiej zastaliśmy drogi lepiej utrzymane, jak w Rosji. Dla zmiatania z nich zasp śniegu używają machiny bardzo prostej, ale wybornej. Jest to trójkąt zrobiony z desek połączonych z sobą łatami; — zaprzęga się do nich parę koni. Boki trójkąta odgarniają śnieg, a łaty go ubijają. Tym sposobem droga jest odmieciona i robi się gładka. — Ujechawszy cztery szwedzkie mile, przybyliśmy do Borgo. To miasteczko jeszcze mi się ładniejsze i porządniejsze jak Lowisa zdawało. Wielki handel zbożem prowadzi, posiada mały uniwersytet i gimnazjum. Wysiedliśmy do pięknej oberży. Prezydent miasta i profesorowie uniwersytetu przybyli z odwiedzinami do jenerała. Ich oświadczenia, uprzejmie, acz w niezrozumiałej francuszczyźnie, wyrażone, rozczuliły Kościuszkę, bo prosto z serca płynęły. Odchodząc, profesor matematyki życzył mu wielkich progresyj w zdrowiu: *des progressions dans la santé*. Pan oberżysta nielitościwie nas zdarł, zapłaciliśmy 5 *rixdallorów* za same stancje, bo wszelka żywność była nasza własna. Daleko więcej widać gospodarskich budynków i nawet wsi w Finlandji szwedzkiej, jak w rosyjskiej. Jednakże Finlandja rosyjska i włościanie w niej daleko lepszego obejścia się doznają, jak inne części cesarstwa. Polityka więcej, jak uczucie ludzkości, skłania do tej łagodności. Piotr, opanowawszy tę prowincję, zachował mieszkańcom ich przywileje i dawne prawa. Następcy jego utrzymali je nietknięte. Uwolniono nawet włościan od rekruta i wszelkiemi sposobami stara się rząd przywiązać ich do siebie. Mimo te usiłowania, tchnienie despotyzmu w wielkiej części zniszczyło ten ruch i ten przemysł, który się daje spostrzegać w Finlandji szwedzkiej. Mieliśmy tego dnia 26 stopni zimna. O drugiej popołudniu przybyliśmy do Helsingfors. To miasto, mając w pobliskości swojej twierdzę, uważane jest jako przedmurze Finlandji szwedzkiej. Pułk artylerji stoi tam garnizonem. Pułkownik Walbourne, do którego mieliśmy list polecający

nas, przybył z innymi oficerami w odwiedziny do jenerała. Był to człowiek, tak jak zwykle jego rodacy, pełen szczerej uprzejmości; wezwał mnie, abym z nim przyjął wieczerzę u kapitana pułkowego, który tego dnia częstował oficerów swego pułku. Wszyscy już byli obiadowali u niego, bo jest zwyczajem w Szwecji, że osoby na obiad zaproszone zostają także na wieczerzę. Dzieje się to z oszczędności, gdyż resztkami z pierwszej uczty uraczają się na drugiej, lecz tym sposobem dłużej wszyscy z sobą zostają, a, gdy towarzystwo dobrane, przyjemność tem większa. Udałem się do mieszkania kapitana o 7-ej. Zastałem pułkownika i kilku oficerów zajętych grą w karty i palących fajki. Czyli pani domu była przyjemna, nie wiem, bo nie umiem po szwedzku. Ci panowie nieraz kolejno wstawali od stołu, aby ze mną rozmawiać. Najwięcej pytali mnie o Rosję, — bardzo zdawali się wszyscy troskliwi, czyli układające się małżeństwo przyjdzie do skutku [1]); spostrzegłem, że bardzo go sobie życzą. Szwedzi, acz odważni i choć w wielu potyczkach w ostatniej wojnie okazali wyższość swoją, poznali jednak, że długo tak potężnemu państwu nie będą mogli opierać się.

Mniemają oni, że połączenie się ich młodego króla z księżniczką rosyjską zapewni im spokojność na długie czasy, żądają go więc i słusznie. — Około dziewiątej przeszliśmy do małego gabinetu, tam zastaliśmy nakryty mały stół okrągły, a na nim masło, ser, wódkę, łososia i inne wędliny, które są jakby przedmową do każdego bankietu. Wieczerzę zastawiono w wielkim pokoju, zaczęliśmy ją od zimnych potraw, a skończyliśmy na zupie; wbrew zwyczajowi, w całej Europie przyjętemu, w całej Szwecji zupę na końcu dają. Była tam i druga zupa z mleka i piwa osłodzonego. Gdy się częstują winem, podają razem i cukier, każdy kilka kawałków kładzie w swój kieliszek. Ta wieczerza, z tak szczerą i pełną prostoty gościnnością ofiarowana, więcej mi smakowała, aniżeli najwspanialsze i najwykwintniejsze biesiady. Wróciwszy do oberży, zastałem naszego anioła stróża, Karpeen, z powrotem z wesela. Opisywał nam je jak najszumniej, nie mógł dość wysławiać hojności gospodarza, mnóstwa potraw, konfitur, cukrów, które tam pożarte zostały. Poczciwy ojciec dwa lata przygotowywał się na ten obchód. Ażeby poprzeć swoje twierdzenia, rozłożył on przed naszemi oczyma całe indyki pieczone i nadziewane, kapłony, torty, szynki, pudełko z cu-

---

[1]) Syn Gustawa III, Gustaw IV, wstąpił na tron po śmierci ojca w r. 1792. Katarzyna II zabiegała o to, ażeby go ożenić ze swoją wnuczką, ale małżeństwo to nie przyszło do skutku.

kierkami, wieniec ślubny z cukru topionego i dwie butelki biszofu. Często, gdy wśród śnieżnych zamieci zatrzymani byliśmy, prowadził nas do swoich sanek i uraczał nas temi specjałami. Zapasy jego trwały aż do Abo, choć Libiszewski nie oszczędzał ich, udo jędycze odrazu połykał, nie jadł, ale pożerał.

1 stycznia 1797. Trzy dni trwała nasza podróż do Abo; kraj, przez który jechaliśmy, był bardzo urozmaicony i malowniczy. Wszędzie lasy jodłowe i modrzewiowe, skały i przepaści, a w nich, mimo srogość pory zimowej, huk spadających potoków. Ledwie z oka ginęły te przerażające obrazy, przedstawiały ci się wesołe widoki, obszerne płaszczyzny, rozciągające się aż do morza; rzeka, która je przerzyna, obładowana była różnemi statkami, słychać było tętent kuźnic, szum i turkot młynów wodnych, uderzały cię wielkie masy i światła i cienia, śnieg gładki i lodowata jego powierzchnia błysnęła tysiącznemi djamentami, stada cietrzewi, ozdobionych grzebieniami ponsowemi, zrywały się ciągle; — wszystko to razem przekonało nas, że i zima, tak jak inna pora roku, ma swoje piękności.

2 stycznia. Nocowaliśmy dwa razy w *bostelach* włościańskich. *Bostele* są to ziemie królewskie, oddane jakoby w żołdzie oficerom i żołnierzom wojska narodowego. Szwecja nie ma więcej nad 12.000 żołnierzy, ciągle w służbie zostających i będącyeh na żołdzie, licząc do 45.000 wojowników, którzy nie pobierają żadnej płacy, lecz w miejsce jej ziemię do uprawy dostają. Włościanin, posiadacz *bostelu,* jest obowiązany utrzymywać żołnierza, któremu daje dom i kawał gruntu, mogący go wyżywić, wraz z krową i kilkoma owcami, oprócz tego dostarcza mu umundurowania zupełnego, broni, żołdu i żywności na miesiąc w czasie wojny lub obrotów wojskowych wśród pokoju. *Bostele* oficerów są zastosowane do stopni, jakie ci posiadają w wojsku, — jeneralskie są wspaniałe. To urządzenie wielkie korzyści przedstawia: żołnierz, który jest w pokoju największym próżniakiem, staje się tu użytecznym towarzystwu, trudniąc się uprawą roli; powtóre tego rodzaju wojacy, rozrzuceni po całej przestrzeni kraju, ćwiczenia wojskowe, które odbywają w każde święto po nabożeństwie, obozowanie każdego roku dwa miesiące trwające, utrzymują ducha rycerskiego w całej ludności krajowej. W ostatniej wojnie pułki te równie dobrze dopełniły swych obowiązków, jak wojsko na żołdzie zostające. Mówią jednak, że, gdy w roku 1787 armja finlandzka nie chciała iść przeciwko Rosjanom, a szczególniej ataku przypuścić do Friderikshammu wzbraniała się, bunt ten przypisać należy nietylko złej woli i niekarności oficerów, ale i niechęci, z jaką wszyscy opuścili swobodę wiejskiego życia

nato, aby się narażać na trudy i niebezpieczeństwo wojenne. Tym to sposobem ci panowie oszczędzili Czaryni[1]) strat i upokorzenia, na które tyle i tyle zasłużyła.

Zbliżając się do Abo, spotykaliśmy na wszystkich stacjach bardzo wielu podróżnych. Mówiono nam, że ci panowie i panie wracali od przyjaciół i krewnych, z którymi spędzić jeździli Święta Bożego Narodzenia i dzień Nowego Roku. Ten zwyczaj i kilka innych dowodzi, ile ten naród jest towarzyski i jak gościnny. To samo widzimy u nas i we wszystkich krajach, gdzie właściciele wiejscy stale po wsiach przesiadują; w wielkich miastach odwiedzają się znajomi, ale tylko na wsi żyją z sobą, kochają się i używają życia.

3 stycznia. Przybyliśmy do Abo przed południem. Jest to stolica całej Finlandji i jest trzeciem miastem w całem królestwie. Dobrze zabudowana, obszerna, lecz prawie cała drewniana. Nie liczy jednak więcej nad 12.000 mieszkańców. Handel drzewa, dziegciu i żelaza jest bardzo znaczny. Jest tu wielu bogatych kupców Posiada to miasto najwyższy całej prowincji trybunał, dodajmy do tego urzędników, oficerów flotylli, stojącej w tutejszym porcie, a pojmiemy, że to miejsce jest bardzo ożywione. Baron Fabjan Wrede jest gubernatorem miasta; przybył on zaraz z wizytą do jenerała. Pięć dni zatrzymaliśmy się w Abo. Alderman, to jest burmistrz miasta, pan Simmerberg, bardzo się nami zajął i starał się nam nasz pobyt uprzyjemnić. Zbierał on więc u siebie amatorów muzyki i dawał nam bardzo ładne koncerta. Był to człowiek, którego twarz męska z wyrazem siły i tęgości objawiała także wiele łagodności i przejmującą poszanowaniem uczciwość. Miał on już ze 60 lat, a nie zdawał się mieć więcej nad 40. Jego druga żona, Gustawa Peping, była jedną z piękności w Abo. Rysy miała regularne, czarne oczy i włosy odbijały dobrze przy białości jej płci. Jeżeli nieco za silna tusza jest wadą, to tę jedną można jej było zarzucić. Poznaliśmy się także z biskupem w Abo, starcem ośmdziesięcioletnim, bardzo wsławionym w całym kraju. Uchodzi on tu za najzręczniejszego i najbieglejszego w intrygach człowieka z całego królestwa. Dowiedziałem się potem, że to był prawdziwy Kossakowski[2]) Szwecji. Żeby był takim w wieku, w którym ambicja zwykle ludzi pożera i każe im szczęście i spokojność poświęcać,

---

[1]) *Czaryni,* tj. caryni, zamiast carowej. Mowa tu o Katarzynie II.

[2]) *Józef Kossakowski,* biskup inflancki, Targowiczanin, za zdradę kraju powieszony w Warszawie 1794.

sławności lub wyniesieniu się nad innych, żeby takim był w 40 lub 50 roku życia, nie dziwiłbym się wcale, lecz żeby, mając 80 lat, wdawać się w intrygi dworskie, chcieć znaczyć i zbogacać się, tego już nadto, i to mnie przekonywa, że próżność i ambicja w grobie chyba spoczynek znajdują. — Ten biskup miał dwóch synów, ludzi zacnych i zasłużonych; byli oni profesorami w uniwersytecie w Abo. Tutaj uczy się młodzież sposobiąca się do stanu duchownego; plebani, nawet z Finlandji rosyjskiej, tu się wszyscy kształcili. Wszystkie tu wykładają nauki, ale teologja najwięcej kwitnie.

5 stycznia. Mróz 25 stopni. Przez cały dzień pozostałem z moim przyjacielem, wieczorem wyszedłem, chcąc odetchnąć świeżem powietrzem. Nasze anioły stróże, Udom i Karpeen, towarzyszyli mi. Przeszedłszy się po mieście, wracaliśmy do domu, obwinięci w nasze ogromne futra i czapki nacisnąwszy na uszy, kiedy, przechodząc przez wielki plac, usłyszeliśmy głosy kobiece i śmiechy, które nas z naszego odrętwienia zbudziły; któżby się mógł spodziewać, aby w 61 stopniu szerokości, w mróz siarczysty nimfy tutejsze igrały sobie po ulicach.

6 stycznia. Zimno, lecz czas piękny, brzmią wszędzie dzwonki. Panowie powożą bardzo grzecznie panie w małych, jednokonnych sankach. Sanki te miały po największej części kształt koszyków z trzciny, lekkich i eleganckich. Szlichtady te odbywają się czasem o milę lub o 2 mile za miasto, i kto wie, czy owe piękne panie nie znajdują tu tyle przyjemności, jak te, które pod szczęśliwszem niebem przechadzają się wśród róż i mirtów.

7 stycznia. Spacerując dziś zrana po mieście, spotkałem człowieka, który ciągnął małe sanki z świeżemi szczupakami. Kilka kupiłem do naszej kuchni. Zasiłek ten był jej bardzo potrzebny; wyczerpaliśmy już byli nasze zapasy, a choć byliśmy w stolicy Finlandji, z wielką trudnością mogliśmy się zaopatrzyć w świeże wiktuały; wyjąwszy ryb i świni, niczego dostać na targu nie można. Bardzo się to łatwo tłumaczy, zwyczajem jest bowiem w Szwecji, tak na wsi, jak w miastach, że każdy gospodarz i gospodyni na cały rok przysposabia sobie prowizje kuchenne. Solą się mięsiwa i wędzą się; marynują się warzywa i jarzyny, które są wyborne w Szwecji. Zakupują się lub łowią stromlingi itd. Tym sposobem można się obejść bez posyłania na targ, i włościanie wiedzą, że napróżnoby tam z swemi produktami przybywali. Podróżni więc znajdują wielką trudność w zaopatrzeniu się w żywność, gdyż mieszkańcy miast, nie mając w spiżarniach tylko tyle, ile im na cały rok potrzeba, nie zbywają jej chętnie lub sprzedają na wagę złota. Po

wielu zachodach — zgadnąć proszę, gdzie nas odesłano po pietruszkę i po chrzan? — do apteki. Było to jedyne miejsce, gdzieśmy je znaleźć potrafili.

8 stycznia. Przed wyjazdem z Abo byłem z wizytą u biskupa Po kwadransie rozmowy żegnam go; odprowadza mnie do drugiego pokoju, — mniejsza o to; — idę do przedpokoju, aby się odziać w moje futro, idzie za mną. Proszę go, aby się nie trudził, nadaremna prośba: towarzyszy mi do schodów; myślałem, że tu kres będzie jego uprzejmości. Ale gdzież tam, schodzi ze mną ze schodów, głuchy na moje zaklęcia i błagania, nie zważając na zimno, ten starzec dworak ściga mnie przez cały dziedziniec i dopiero ostatecznie żegna się ze mną przy bramie na ulicy. Opuściłem go zawstydzony i zmęczony takim szturmem grzeczności jego; Mandaryn Kochenchiński[1]) nie byłby się inaczej ze mną obszedł. Gdyż gdyby był biskup jeszcze krok jeden dalej posunął na ulicę, jak to chciał zrobić, oświadczam, iż wzorem Kochinczyków byłbym się rzucił do nóg jego, zaklinając go, aby mnie niegodnego przestał taką czcią urażać. Po obiedzie, w towarzystwie aldermana Simmerberga, pojechaliśmy do Saris, do *Bostelu* jenerała Fabjana Wrede. któregośmy już poznali za naszem do Abo przybyciem. Stanęliśmy tam o 6 wieczorem. Dom jego drewniany, lecz obszerny, wygodnie urządzony, umeblowany z dobrym smakiem, a nawet ze zbytkiem Jenerał Wrede ma zaledwie 36 lat. Z śliczną twarzą, z wzrostem wysokim, łączy on wyraz otwartości, szlachetności i prawości, który odrazu ujmuje i przyciąga. Służył we Francji, odznaczył się w ostatniej wojnie przeciw Rosjanom, i był jednym z wielkich ulubieńców Gustawa III. Przyjął nas jaknajprzyjaźniej i, jakeśmy się później dowiedzieli, kazał swojej dobrej przyjaciółce wynieść się z jej pokoju, a umieścił w nim jenerała Kościuszkę i dał mu jej łóżko. Po herbacie zasiedliśmy do partji whista, lecz więcejśmy rozmawiali, jak grali. Wieczerza była wyborna, my sami byli tylko z obcych, resztę towarzystwa, acz dość licznego, składali jego adjutanci i oficerowie jego pułków. Między nimi był emigrant francuski, pan Bidal de Broue, ofiara — jak tylu innych — płochości i zaślepienia książąt francuskich. Przez lat dwa służył pod ich chorągwiami, a potem zostawał kolejno w służbie rosyjskiej, duńskiej, szwedzkiej. W Petersburgu uwięziony, doznał srogiego obejścia się, w Kopenhadze także był wtrącony do więzienia, nakoniec, po

---

[1]) *Kochinchina*, dawniej wasalne państwo, od Chin zależne, potem, aż do dziś, podwładne Francji.

wielu nieszczęściach i wydarzeniach smutnych, otrzymał miejsce w pułku dragonów finlandzkich, [ale] stracił je wkrótce, podług chwalebnego zwyczaju, w Szwecji przyjętego. Dziś żyje przy baronie Wrede. Nieszczęście wykształciło tego młodzieńca. Choć emigrant, — mówi on z bezstronnością równie o gorszącem postępowaniu książąt, jak o szkaradnych zbrodniach Robespierra. On-to poznał młodego księcia Orleanu, gdy, przebrany za kupca szwajcarskiego, przybył do Norwegji, pieszo podróżując, dostał się aż do Torneo, skąd udał się do Finlandji, gdzie odwiedził jenerała Klingsporten. Gdy się znajdował w Sztokholmie, młody król i rejent, jak twierdzą, chcieli go skłonić, aby osiadł w Szwecji, i najkorzystniejsze czynili mu propozycje. Wszystkie jednak odrzucił, odpłynął do Ameryki, przenosząc niepodległość i wolną ziemię nad wszystkie godności i zaszczyty. Pięknie on takiem postępowaniem odpowiedział oszczercom swoim. Ten młodzieniec znajdzie w swojem sumieniu i w szacunku uczciwych ludzi pociechę i wynagrodzenie za to wszystko, co ucierpiał *).

9 stycznia. Cały dzień następny przebyliśmy w gościnie u jenerała. Dom jego wznosi się w bardzo pięknem i malowniczem położeniu, na brzegu morza, albo raczej wśród wysp, które mu nadają postać kilku jezior. Wyspy są pokryte lasami i napełnione zwierzyną. Baron Wrede może dogadzać swojej namiętności polowania. Ma on śliczne psy; podczas obiadu, gdym się najmniej spodziewał, uczułem, że mnie ktoś popycha z tyłu, obracam się, a tu wielki pudel, który, wspiąwszy się przedniemi łapami i oparłszy je na krześle, stał nieporuszony, jakby lokaj, i oczekiwał swojego kawałka. Współbiesiadnikiem naszym był bogaty dzierżawca z sąsiedztwa, a raczej właściciel kuźnic żelaza. Był gruby i otyły, twarzy otwartej, humoru wesołego, jak to zwykle bywa u ludzi dobrej tuszy. Powitał barona po angielsku, to jest uściśnieniem ręki. To powitanie dało mi lepiej poznać rząd i obyczaje tego narodu, aniżeli wszystkie traktaty i książki. W istocie, widząc pierwszego lepszego dzierżawcę, żyjącego z taką poufałością z jednym z pierwszych panów królestwa, dowodzącym w całej prowincji, kawalerem orderu Serafinów, powiedziałem sobie: zapewne lud musi tu mieć udział w zarządzie państwa, i w naczelnikach swoich widzi tylko starszych braci.

---

*) Książę Orleanu, syn Egalité, w 36 lat później król Francuzów, Ludwik Filip, zaczął młode życie w tułactwie i skończył je w 53 lat potem na wygnaniu. *(Przyp. tłómacza.)*

Bardzo wesoło dzień nam przeszedł. Baron posiada bibljotekę wyborową, a oprócz niej ma zbiór perspektyw, teleskopów, mikroskopów i różnych narzędzi fizycznych. Okazał mi kilka listów Gustawa III. Można w nich poznać szacunek, ufność i przyjaźń, któremi ten monarcha zaszczycał barona Wrede. Listy te pisane są z dowcipem i stylem łatwym, lecz ortografją właściwą kobietom i królom. Nie poznaliśmy faworyty barona, była cierpiącą i nie wstawala z łóżka. Mówią, że ładna, przyjemna i dobra kobiecina. Słowem, przekonałem się, że nic do szczęścia temu zacnemu człowiekowi nie brakowało. Od niedawnego czasu rozłączył się z swoją żoną, lecz mówią, że w tem winy jego nie było. Jejmość była wymagająca, wszystkiego dozwalała sobie, a nic nie przepuszczała małżonkowi. Mimo rozłączenia, żyją z sobą w przyjaźni. Mają syna wielkich nadziei. Pani osiada w Sztokholmie i bardzo się dobrze bawi. Wróciwszy niedawno z Paryża, chciała zaprowadzić modę peruk niebieskich i różowych, lecz nie słychać, aby ją panie sztokholmskie naśladowały [1]).

10 stycznia. Na drugi dzień rozstaliśmy się z naszym uprzejmym gospodarzem i, opatrzeni w mapy, któremi nas baron obdarował, puściliśmy się w dalszą podróż, mając do przebycia Archipelag tutejszy. Po trzech godzinach drogi przebyliśmy odnogę morską, która oddziela ląd stały od wyspy św. Jakóba, a potem tę, która między tą wyspą a Wastallą znajduje się. Kilka domów rybackich wznosi się na tej ostatniej wyspie, która jest tylko skałą jałową, kilka tylko sosen na niej rośnie. Mieszkańcy utrzymują się z połowu ryb, które zamieniają na zboże i inne przedmioty do życia potrzebne, dobrze się jednak mają, są nawet bogaci. Dom, w którym nocowaliśmy, był dobrze zbudowany i obszerny, była w nim izba dla podróżnych przeznaczona, naprzeciwko sala ogromna, w której się mieściła cała rodzina, sufit w niej był wygięty i przedstawiał kształt pomostu okrętowego. Tam się zbierali wszyscy domownicy i oddawali się swym zatrudnieniom. W jednym końcu tej wielkiej izby był komin kuchenny, w drugim stał zegar bronzowy farby [2]) londyńskiej. W głębi stół wielki. Jedną część tej sali zajmowały łóżka całej rodziny, ustawione jedne nad drugiemi. Matka sypiała na dole, ojciec na pierwszem piętrze, wyżej nocowali

---

[1]) Z tego ustępu należy się domyślać, że Niemcewicz swój opis podróży układał z notat podróżnych w Sztokholmie.

[2]) *farby londyńskiej,* zapewne mylka druku zam. *fabryki* londyńskiej.

dwaj synowie, a najwyżej córki, urocze stworzenia, najpiękniejsze, jakie na tej ziemi spotkać można. Były to dwie mieszkanki brzegów Tybru, kibici rosłej i wysmukłej, z najpiękniejszemi i najregularniejszemi rysami; ich włosy, splecione w warkocze, spięte były szpilką srebrną. Było to zupełnie po starożytnemu, lecz co po starożytnemu nie było, to jakaś kacawejka z skóry baraniej, a więc kożuszek. Te panienki, choć miały lat 20 do 21, nie myślały jeszcze o mężach. Zwyczaj zawierania ślubów małżeńskich nie w bardzo młodym wieku przyczynia się do nadania siły i pięknej urody całej ludności tych krajów.

Przepędziłem wieczór wśród całej tej rodziny. Salę oświecały kagańce, czy raczej pochodnie ze smolnego drzewa. Obie panny przędły wraz z matką. Ojciec i synowie naprawiali sieci. Rozmowa, acz jej nie rozumiałem, bardzo mnie zajęła, bo i spojrzeniami rozmawialiśmy z sobą. Libiszewski ożywił nasze towarzystwo. Zmęczony drogą, rzucił się na łóżko dla niego przygotowane w tej samej izbie. Tam rozwalony, prawie rozebrany, wziął skrzypce i wyprawił nam szczególniejsze widowisko człowieka grającego w łóżku kontradanse i kozaki. Dziwna postać i ruchy naszego muzykanta. wykrzywianie twarzy, wesołość granych tańców, wywołały głośne śmiechy i przerwały wszelką robotę. Śmiano się, dopóki sen nie zmorzył skrzypiciela i nie ustała muzyka.

11 stycznia. O szóstej zrana każdy z nas wsiadł w odkryte sanki, wyjąwszy jenerała, do którego sanek przyczepiono dywan w kształcie baldachimu, który go dobrze osłaniał. Cały dzień mieliśmy spędzić w drodze na zamarzłem morzu; powietrze łagodne, od kilku dni trwające, bardzo było lód osłabiło. Żadnej więc ostrożności nie chcieliśmy zaniedbać. Włościanie, którzy się znali dobrze na sile i grubości lodu, poprzedzali nas, uzbroiwszy się żelaznemi oskardami, któremi próbowali tak jednej, jak drugiej. Jaki był porządek naszej karawany? Pojazd nasz, rozebrany na różne części i jakby w szyku wojennym, pierwszy postępował: koła na jednych sankach stanowiły straż przednią, pudło pojazdu wyobrażało główny korpus, a spód jego wyglądał na straż tylną. Nasze małe sanki, jedne za drugiemi postępujące, zdawały się być powózkami obozowemi. Nasi przewodnicy zatrzymywali nas co chwila i często zbaczali z drogi prostej, chcąc najbezpieczniejsze wybierać miejsca. Uważałem, iż zawsze tam się kierowali, gdzie lód był popękany, zapewne dlatego, że zimno, przeciskając się przez te otwory aż do wody, umacniało jej lodowatą pokrywę. Często ona tak była cienka, że za uderzeniem w nią drągiem woda wytryskała z pod niej, jakby z fontanny

Raz kucharz jenerała przybiegł do mnie z przerażeniem, wołając: »Ach, panie, lód nie jest grubszy od kotleta«. Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu z tego porównania, widząc, że każdy odnosił wszystko do przedmiotów, z któremi był najlepiej obeznany. Jestem przekonany, że, gdyby ten kucharz wierszował, malowałby jutrzenkę z palcami marchwiannemi, łąkę ustrojoną w sałatę i w szpinak. Szczęśliwie zajechaliśmy do Kumlinge, które było na ten dzień kresem naszej podróży. Znaleźliśmy tu dobry nocleg i wyborne cietrzewie; w tych krajach łatwiej o nie, jak o drób. Reszty czasu użyliśmy na przygotowaniach do pódróży jutrzejszej, mając do przebycia najdłuższą i najniebezpieczniejsza część Archipelagu. O czwartej *Forbode,* czyli kurjer, naprzód wysłany dla przygotowania nam koni, wrócił z Eckeren z wiadomością, że cała zatoka morska była napełniona lodami, a przeto przebycie jej niepodobne do uskutecznienia, może przez czas długi. To doniesiesienie bardzo nas zmartwiło; mieliśmy do wyboru albo pozostać w Eckeren przez sześć tygodni, albo okrążyć zatokę Botnicką przez Torneo, to jest podróżować w 66 stopni[ach] szerokości w miesiącu styczniu. Chcąc być na wszelki wypadek w pogotowiu, napisaliśmy do jenerała Wrede z prośbą o paszporta na tę północną podróż i dalej puściliśmy się w drogę. Przestrzeń, którąśmy przebywali, zowie się Delet i jest długości pięciu do sześciu mil szwedzkich; jedzie się ciągle po lodzie, gdzieniegdzie spostrzec można puste i jałowe wysepki. Pomyślawszy, że nas od otchłani morskich dzieliła tylko powłoka lodu na pół stopy gruba, że tę niezmierną płaszczyznę, tak gładką i równą, teraz niewzruszoną i martwą, którąśmy pocztą przebiegali, niedawno przerzynały okręta, poruszały i wzburzały wiatry w piętrzące się wały, pomyślawszy — mówię — to wszystko, wstrzymać się nie mogłem od zadziwienia i smętnego zadumienia. Lud Boży nie sam więc tylko przebywał morze bez zamaczania sobie pięt.

Gdyśmy się do Skarpeen zbliżać zaczęli, język fiński nagle ustał, a najpółnocniejszy w Europie dialekt lapoński objawił się nam. Zaczyna się on u północnego przylądka i dotyka aż do Bałtyku. Kto wie, czy mowa używana w Inflantach i w Kurlandji nie pochodzi od niego. Język ten nie jest podobny do żadnego innego, lud, który nim przemawia, jest ubogi, z swojej ojczystej ziemi nigdy nie wyszedł, ani żadnych napadów obcych nie dopuścił. Mieszkańcy tutejsi mówili mi o swym dialekcie tak, jak zwykle każdy lud mówi o swoim języku, że jest bardzo bogaty, wyrazisty i że bardzo pięknemi szczyci się poezjami. Skarpeen, gdzieśmy nocowali, już jest na wyspie Aland; znaleźliśmy tam dwa lub trzy domy, bardzo po-

rządne. z wygodnemi pokojami, przeznaczonemi dla podróżnych. Nie mieliśmy dotąd podobnie dobrego noclegu, dostaliśmy tu i jaj i drobiu i wybornego, świeżego masła.

13 stycznia puściliśmy się w dalszą podróż, już po ziemi, nie po lodzie, gdyż nie wspominam o małej odnodze morskiej, dzielącej wyspę Aland na dwie części. Ta wyspa, z całego Archipelagu najobszerniejsza, bo ma pięć mil długości i pięć szerokości, jest dość zaludniona i odznacza się dość staranną uprawą roli. Włościanie, tak jak w Finlandji, są gościnni, uprzejmi dla cudzoziemców i nawet między sobą i dla siebie grzeczni. Ileż razy widziałem kobiety i dziewczęta podróżujące pieszo, które się wśród drogi zatrzymywały nato, aby naszym postyljonom dygnąć i zapytać o ich szacowne zdrowie. Ci kawalerowie nie mniej byli uprzejmi i kłaniający się. W ogólności powiedzieć można, że ten lud zdaje się składać z ludzi dobrze wychowanych. Wśród wyspy stoją zwaliska wielkiego i starego zamku nazwanego Castelholm. W nim to Eryka, syna Gustawa Wazy, gdy oszalał, zamknąć kazał brat jego, Jan, mąż Katarzyny Jagiellonki, córki Zygmunta I, króla polskiego, a matki Zygmunta III.

Przybywszy do Eckeren, przekonaliśmy się na nieszczęście, że raport naszego kurjera był prawdziwy. Jak tylko można było okiem zasięgnąć. morze pokryte było kawałkami lodu, ogromną krą, wiatr był zmienny, a więc żadnej nadziei prędkiego odjazdu. Postanowiliśmy więc czekać na odpowiedź jenerała Wrede. Eckeren, stolica wyspy Aland, składa się z domu należącego do poczmistrza, o 400 kroków od brzegów morza oddalonego, gdzieśmy się usadowili, z kilku domów, zbudowanych dla wygody podróżnych, lecz po największej części pustych, i z wioski porządnie zabudowanej i dość ludnej. Jedenaście dni przepędziliśmy, a raczej przewlekli, na tej samotnej wyspie. Pod innem niebem, lub przynajmniej w innej porze, byłbym chętnie miesiące całe w takiem osamotnieniu przebył, lecz w zimie, gdy cała natura zamarła, gdy się ma tylko pięć godzin dnia! Staraliśmy się jednak dobrze dni nasze zapełnić. Naszą karawanę powiększyło przybycie trzech oficerów szwedzkich, jadących z Wester-Botnii i będących w garnizonie w miasteczku, o mil 12 na północ od Torneo odległem, a więc w 68 stopniu szerokości. Był między nimi porucznik Clementiów [1]), liczący już lat 63, lecz który i na 30 nie wyglądał, tak był czerstwy i silny. Ponieważ w Szwecji wszystkie rangi wojskowe kupują się, a Clementiów

[1]) Nazwisko *Clementiow* drukowane jest w innym ustępie *Clemention* i zdaje się, że ta ostatnia forma nazwiska jest poprawnie podaną.

z urodzenia był ubogi, więc dopiero po 44 latach służby doszedł do porucznikostwa. Służył on w Pomeranji podczas ostatniej wojny przeciw Prusom i nieźle wyuczył się po niemiecku. Jest to człowiek zacny, czynny, oświecony, dzielny wojskowy i bardzo rozmowny. Miał z sobą syna, który także był porucznikiem; młody ten człowiek bardzo jest przystojny i ma zupełnie postawę wojskową. Trzeci ich towarzysz był młodzieniec rodem z Gothenburga, uczciwy i łagodnego usposobienia, ale bardzo słabego zdrowia. Przybył nam jeszcze wielki oryginał, któregośmy w Abo poznali, kapitan Asprod, jeden z pięćdziesięciu adjutantów króla. Podczas podróży Jego Królewskiej Mości do Petersburga, był posłany kurjerem i w drodze złamał nogę blisko Wübourga. Dopiero co był powstał z łóżka i chodził o kulach; bez tego wypadku, który litość dla niego wzbudzał, byłby najśmieszniejszym oryginałem na świecie, pozostał jednak zawsze śmiałym aż do zuchwałości, do bezczelności nawet, ceremonjalnym i komplemencistą aż do znudzenia. Słowa do jenerała nie powiedział bez uraczenia go Ekscellencją, a najprostsze *tak* lub *nie* okraszał zawsze śmiechem głupowatym. Choć ceremonjalny, bez ceremonji usadowił się w naszej kwaterze i był naszym współbiesiadnikiem przez cały czas naszego tam pobytu. Trzej oficerowie wyżej wymienieni rozkwaterowali się u jednego z mieszkańców wioski. Codzień jenerał jednego z nich zapraszał na obiad i każdy z nich udzielał nam ciekawych szczegółów tak o kraju, w którym mieszkali, jak o sąsiadach Lapończykach. Jednego razu ubolewałem nad nimi, że byli w kraju tak pustym i w klimacie tak ostrym. Stary porucznik bronił go z zapałem takim, jaki tylko *dulcis fumus patriae* natchnąć może. Nasze pola, mówił on, dostarczają nam żyta podostatkiem, nasze rzeki i jeziora łososi najsmaczniejszych w całym świecie, każdy z nas ma parę krów, a co jeszcze lepszego, stada renów, które się latem i zimą pasą w lasach, dotykających naszych mieszkań. Te zwierzęta nie wymagają wielkiej pieczołowitości, a przecież żywią nas swem mlekiem, z którego wyrabiamy także sery, w zimie zaprzężone do sanek, przenoszą nas z miejsca na miejsce prędzej jak najlepsze konie, nakoniec mamy z nich i mięso wyborne i skóry, które się bardzo drogo sprzedają. Powietrze nie jest tak ostre, jak sobie wyobrażają. Mamy dwa miesiące lata a raczej te dwa miesiące są tylko jednym dniem, bez żadnej przerwy. Słońce, jak ogromny okrąg, pozostaje ciągle na horyzoncie. Zimy wprawdzie są długie i mroźne, przez sześć miesięcy używamy tylko przez godzinę lub dwie światła dziennego, nie myślcie jednak, żebyśmy, do susłów podobni, cały ten czas przespali. Księżyc przyświeca nam bla-

skiem nieznanym w waszych krajach i zastępuje nam słońce wśród ciemności nocnych, zorza północna rozwija swój płaszcz purpurowy i różowy, na który patrzeć bez uniesienia nie można. Jeżeliśmy w naszych chatach uwięzieni, przy świetle żywicznych pochodni zajmujemy się naprawą naszych sieci, wyrobem lub naprawą naszych narzędzi rolniczych, różnemi gospodarskiemi pracami. W tej także porze roku dostawiamy do portów morskich nasze produkta, i nasi znajomi, acz oddzieleni od nas niezmiernemi przestrzeniami, odwiedzają nas, znosimy się z sobą, udzielamy sobie gazet, z których w ośm miesięcy dowiadujemy się o tem, co się dzieje w Europie, przecież nie jesteśmy obcymi wydarzonym tam wypadkom, a tak, wśród naszych śniegów i lodów, zrywamy na drodze życia nasze własne kwiaty, i umieramy, poznawszy, tak jak inni, szczęście tej ziemi.

Pan Clemention i jego towarzysze nieraz odwiedzali Lapończyków. Opowiadali nam, że to jest lud zupełnie wędrowny. W lecie usuwają się między skały norweskie, gdzie ich reny znajdują obfite pastwisko. W zimie wracają i wybierają sobie miejsca najsposobniejsze dla nich i ich trzód. Gdy mech, służący renom za pożywienie, już wyjedzony, posuwają się dalej. Żyją pod namiotami mężczyźni, kobiety, dzieci i reny razem pomięszani. Nienawidząc pracy i podległości, śpią, jedzą, częstują się wzajem. Są małego wzrostu, porządnie brzydcy, szczególnie ich kobiety są szpetne. Gościnność jest jedną z ich najgłówniejszych cnót, lubią cudzoziemców i uraczają ich najlepszem mlekiem, serem i mięsem z ren[ów]. Rząd szwedzki usiłował pociągnąć ich do chrystjanizmu, utrzymując swoim kosztem w najludniejszych powiatach probostwa; dość się to powiodło, przecież nie uczęszczają oni do kościołów jak tylko raz lub dwa wśród natęższej zimy, kiedy mrozy silne nie dozwalają im włóczęgi. Zachowują oni znaczną część swych zabobonów i w istocie są tylko z nazwiska chrześcijanami. Lud ten bardzo jest do swojego kraju przywiązany. Gustaw III posłał był kilka lapońskich rodzin księciu Kondeuszowi. Ten im wyznaczył w ogrodach w Chantilly znaczny kawał gruntu w położeniu najprzyjemniejszem i w najżyźniejszej glebie. Wymurował im domy i dostarczył podostatkiem wszystkiego, czego im dla nich i dla ich renów potrzeba było. Lecz niestety te piękne gaje, szmer strumyków, łąki kwieciste, wszystkie wygody życia były dla nich bez żadnego powabu. Wzdychali ciągle za swemi skałami, śniegami, lodami i byliby z tęsknoty pomarli, gdyby ich był książe nie kazał po roku odesłać do ich ojczystej ziemi. Wiadomo jest, że Laponja podzieloną jest na trzy części. Jedną posiada Rosja, drugą Szwecja,

trzecią Danja, lecz można twierdzić, że ten lud zna tylko z nazwiska swoich panów. Płacą oni bardzo mało, żyją niepodlegli, między sobą często prowadzą wojny, napadają na siebie bez wiedzy swoich rządów. Tak nam porucznik Clemention i jego towarzysze opisywali swój i ich sąsiadów, Lapończyków, kraj. Te opowiadania rozrywały jednostajność i nudę dni w Eckeren przepędzanych. Nie mieliśmy tam wprawdzie żadnej zabawy, przecież nie nudziliśmy się. Rano koło siódmej wstawaliśmy. Rozniecano ogień, zapalano świece i przyrządzano śniadanie. O ósmej zbierali się oficerowie, piliśmy kawę, herbatę z grzankami, wybornem masłem posmarowanemi. Wchodził kucharz i następowała dyspozycja obiadu. Koło dziesiątej, jeżeli czas był piękny, przychodzili włościanie z wiktuałami, jakoto z rybami, z białemi zającami, z cietrzewiami, z jarząbkami i czasem z drobiem. Wszystko to sprzedają dość drogo, wyjąwszy stromlingi. Są to małe ryby, mniejsze od okuni, których mnóstwo poławia się przy brzegach Finlandji, obfitość ich jest tak wielka, jak śledzi w morzach północnych. Rybka ta jest bardzo tłusła, smaczna, czy świeża czy solona, lecz wkrótce się sprzykrzy. Lud pospolity żywi się nią codziennie. Często przytomny byłem śniadaniu dwóch parobków i dwóch dziewek, które składały czeladź pana Young, naszego gospodarza. Zwykle mieli oni zupę z mleka, po niej półmisek stromlingów, dalej chleb, masło i ser. Na obiad dodawano im mięso solone. W częściach północnych Finlandji taką mnogość łososi poławiają, że panowie w kontraktach ze swymi sługami kładą ten warunek, że codzień mają jadać ryby. Mleko jest pokarmem najwięcej używanym w Finlandji. Krowy, acz małe, bardzo są mleczne. Oprócz siana dają im w zimie polewkę gotowaną z otrębami, liściami kapuścianemi i innemi warzywami, która je wybornie karmi. Po naszem śniadaniu, jeżeli czas był piękny, jenerał wyjeżdżał na spacer w sankach, a ja szedłem pieszo. Zwykle do telegrafu odbywałem przechadzkę. Bawiło mnie to widzieć w ruchu tę tak dowcipnie urządzoną machinę, a więcej jeszcze żądza otrzymania za jej pomocą wiadomości z zatoki wiodła ku niej. Co to za wynalazek, co za cud, co za przyjemność, żeby móc słowa swoje przerzucać powietrzem z szybkością myśli. Nasz telegraf był w związku z tym, który umieszczono na pustej wyspie Singlekars, o półtory mili szwedzkiej. Ten podawał depesze temu, który urządzony był w Griselhamm, w Szwecji, stamtąd pocztą przesyłano wiadomości do Sztokholmu. Ta powietrzna rozmowa dozorców telegrafowych była bardzo grzeczna, ale wcale nie ciekawa. Z pół godziny czasu codzień poświęcali na przesyłaniu sobie życzeń *dobrego*

dnia, dobrej nocy, na zapytania o zdrowie, sen i apetyt. Pytano się także o stan zatoki; przez dni jedenaście zawsze ta sama odpowiedź, wcale nie pocieszająca: »wielkie szyby lodu, wiatr przeciwny, podróż niepodobna«. Wracałem do kwatery. Jenerał dla zabicia czasu rysował i ja także rysowałem. O drugiej obiad. Po obiedzie brałem moją szubę, moje buty futrzane i wychodziłem na spacer. W innej porze roku byłbym zwiedził najodleglejsze zakątki tej wyspy, lecz wielkie śniegi nie dozwalały mi zaspokojenia mej ciekawości. Raz zspuściłem się na zachodnie brzegi wyspy, przeszedłszy przez odnogę morską zamarzłą. Myślałem, że wrócę lądem, widząc z pod zasp śniegowych wyglądające bryły granitowe i małe sosenki. Wszystko to było ułudą. Te krzaki były to rosłe sosny 5 lub 6 stóp wysokie, zasypane śniegiem, i których tylko wierzchołki widać było; myślałem, że depcę ich korzenie, a ja szedłem po ich gałęziach. Gałęzie gną się pod ciężarem, wpadam w otchłań, głową tylko nad nią góruję, gdyż szczęściem śnieg był mrozem stężał i zaskorupiał. Opakowany w futrze i w ciężkich butach po długiem pasowaniu się już traciłem siły, gdy szczęściem major Udom, który w pewnej odległości szedł za mną, nadbiegł na mój krzyk i dopomógł mi do wydobycia się z przepaści. Po wielu trudach dobiliśmy się na brzeg morza. — Było tam morze przed nami, ale nie ta powierzchnia wspaniała, na którą spoglądając, wzrok się gubi, która przemawia głosem potężnym bałwanów, która nas w zadumanie wprawia, lecz była to przestrzeń najeżona bryłami lodu, nierówna, zmarszczona, piętrząca się. — Nigdym jeszcze nie widział równie smutnego i ponurego obrazu. Ziemia i woda jedną tylko stanowiły pustynię. — Okropne milczenie wszędzie panowało, nie przerywały go ani głosy ptaków, ani nawet szum wiatru. Człowieka tylko głos słychać było Cała natura zamarła, ja sam tam żywy. ale niestety nieszczęśliwy bardzo, zaledwie z długiej niewoli wypuszczony, widziałem się skazanym na długie tułactwo, na długie z ojczyzną rozstanie, na wieczny żal po niej. Wróciłem dopiero nocą zmęczony i smutny.

Niedaleko mieszkania pana Younga wybudowano, jakem już rzekł, kilka domów dla wygody podróżnych. Jeden z nich zajmowało pięciu żołnierzy polskich. Wzięci w niewolę przez Rosjan, odesłani zostali na wyspę Kotka i tam najsroższego doznali obejścia się. Udało im się uciec i dostać się do Finlandji szwedzkiej; często odwiedzałem tych smutnych rozbitków naszego narodowego okrętu. Jenerał wiele im świadczył, kazał ich później do Sztokholmu przewieźć, obmyślił ich utrzymanie i wszelkich dołożył starań, ażeby z bezpieczeństwem dostali się do nieszczęśliwej swej ojczyzny. Ci

poczciwi ludzie nie mogą dość wychwalić ludzkości i uczciwości, jaką znaleźli w ludzie szwedzkim. Skoro tylko gdzie powiedzieli, że są Polakami, natychmiast znajdowali wsparcie i wspomożenie. Zacny narodzie! Polacy mają tylko serca zdolne czuć twoją szlachetność, lecz niestety! każdy inny sposób okazania ci ich wdzięczności jest im odjęty na zawsze.

Bardzom się cieszył, gdy mimo te wszystkie przeszkody, o których wyżej wspomniałem, mogłem wyjść z domu i świeżem odetchnąć powietrzem. Lecz wkrótce taki śnieg sypać zaczął, że nietylko drogi, ale przystępy do naszego domu zostały zawalone ogromnemi zaspami. Odmówić sobie trzeba było spacerów, nie pokazywali się więcej włościanie z wiktuałami, byliśmy prawdziwie do pożałowania. Po tym śniegu przyszła odwilż. Jednego wieczora jenerał z towarzyszami naszymi zasiadł do partji wista, ja czytałem książkę, gdyśmy ujrzeli wchodzącego do pokoju pana Broue, oficera francuskiego, który zostawał przy jenerale Wrede. Przywiózł on listy od barona. Zacny ten człowiek, przerażony zamiarem Kościuszki okrążenia zatoki, spiesznie go wyprawił z usilnem naleganiem, aby jenerał odstąpił od tej myśli. Zachwialiśmy się więc w naszem postanowieniu, zaniechaliśmy podróży do Torneo, stanęło na tem, że rozstrzygnienia losu naszego oczekiwać będziemy w Eckeren. Cały dzień następny przebył z nami pan de Broue, powiedział on nam, że owe lody, któreśmy przebywali, bardzo już słabe były i że włościanie przypisywali to ciężarowi naszego pojazdu. Bazdzo mało pojazdów musiało tym krajem przejeżdżać, gdy nasz takie podziwienie i ciekawość obudza. Chłopi nazywali go żartobliwie *kungsstot,* pałacem królewskim. Mieliśmy jednak ze sobą żyjącą istotę, która jeszcze dziwniejszą się zdawała. Był nią nasz murzyn. Można powiedzieć, że całe wioski zbiegały się, chcąc oglądać jego twarz hebanową. De Broue opuścił nas następującej nocy, a myśmy do zwykłego trybu życia wrócili, które Libiszewski swymi figielkami miłosnemi rozweselał.

Powietrze jednak coraz się łagodniejszem stawało, środek zatoki zaczął się z lodów oczyszczać. Majtki co rana przychodzili, uważali wiatr, mierzyli grubość lodu, niejaką pocieszali nas nadzieją i wracali do swych chat. Trwało to dni kilka, gdy w niedzielę, 22 stycznia, o ósmej zrana, Karpeen nagle wpadł do nas, zalecając, abyśmy się prędko pakowali i gotowi byli do podróży. Ta dobra nowina obudziła całą naszą czynność, w godzinę byliśmy w pogotowiu. Jenerał usiadł w sanki, nasze tłumoki, kuchnię na trzech innych pomieszczono. Ponieważ bat (gdyż tak nasz statek nazwać

należy) był szczupły, uradzono, że pojazd zostawić musimy. Przeszliśmy pieszo odnogę morską na ćwierć mili szeroką i drapiąc się na skały, dobiliśmy się do brzegu południowo-wschodniego, gdzie nas nasza szalupa oczekiwała.

Była ona zupełnie odkryta, a tak wystawieni byliśmy na wszystkie zmiany powietrza; lody otaczały ją ze wszystkich stron i jeszcze daleko przed nami się rozciągały. Wsiedliśmy na nią z naszymi lapońskimi oficerami i tu się zaczęła praca najtrudniejsza i najdziwniejsza. Trzeba było łamać lody, które nas okalały, i łamać je nie inaczej, jak tylko naszym statkiem. Piętnastu majtków, piętnastu włościan, stojąc na lodach, trzymało w ręku liny przywiązane do masztu, do tyłu i przodu szalupy i, ciągnąc je, poruszało statek. Tak się poruszając, to w prawo, to w lewo, przerzynał się on przez lody. Ta praca niezmiernie męcząca, trwała blisko trzy godziny. Po raz pierwszy widziałem na morzu ryty tór, gdyż nasza szalupa, posuwając się powoli, zostawiała szeroką drogę po sobie i przerwę wodną wśród lodowatej przestrzeni. Dzień już zapadał, kiedyśmy się zbliżyli do otchłani płynnych. Włościanie wrócili do domu, a my z wiatrem dość pomyślnym płynąć zaczęli. Po tylu trudach trzeba było pomyśleć o pokrzepieniu sił. Nasze majtki, wszyscy młodzi ludzie, silni, przystojni, dobrze odziani, rozłożyli swoje zapasy żywności, któremi się zaopatrzyli na dni piętnaście i które mieli zachowane w wielkich koszach. Składały się one z butelki wódki z masła, z sera w wielkiej obfitości, z szynek, z mięsa solonego z salcesonu i z chleba. Lecz co najdziwniejszego, że między temi przysmakami nie mieli ani kropli wody. Skoro tylko zanosi się na burzę, ludzie ci spieszą z powrotem do brzegów lub schronienia szukają w Singlekars, gdzie jest źródło żywej wody. Poszliśmy za przykładem naszych marynarzy i zabraliśmy się z dobrym apetytem do śniadania. Powietrze było łagodne, morze spokojne, ujrzeliśmy kilka psów morskich, igrających wkoło naszej szalupy. Do pół wysokości wynurzały się nad powierzchnią morską i ich wielkie i piękne oczy zatrzymywały się na nas. Wiele bardzo zwierząt znaleźć można w tych stronach. Majtki opowiadali nam, że kompanja dwudziestu lub trzydziestu samic zbiera się czasem dla odbywania razem połogów. Wybierają zwykle wielkie szyby, jakby wyspy lodowe i tam płód składają i przez trzy tygodnie ssać mu dają. Człowiek, niszczyciel bez żadnej zgryzoty sumienia, zakłóca te ich macierzyńskie starania. Mieszkańcy wysp wielką ich liczbę biją handlują niemi z korzyścią, wydobywają bowiem z nich tłuszcz, jedzą mięso młodych psiaków i skóry sprzedają na tornistry i obicie

kufrów. Wiatr był słaby. Musieliśmy więc zarzucić kotwicę w przystani Singlekars. Jest to mała wyspa, a raczej goła i jałowa skała na której nic się nie rodzi. Użycza ona tylko schronienia podróżnym, którzy jednym ciągiem przebyć odnogi nie mogą. Rząd utrzymuje na niej dwóch wieśniaków, którym dostarcza żywności na rok cały i paszy dla dwóch krów. Zaledwie nasz statek zbliżył się do brzegu, wieśniacy obaj przybiegli na nasze spotkanie i zdawali się uszczęśliwieni naszem przybyciem. Myślę, że nadzieja zysku nie była im jedynym do radości powodem. Uwięzieni na opustoszałej skale, muszą znajdować wielką przyjemność, witając istoty do nich podobne. To uczucie okazywał szczególniej piesek, który z nimi przybiegł. Trudno jest opisać uradowanie tego biednego zwierzęcia, skakał, szczekał, pieścił się z wszystkimi, jakgdyby był ujrzał dawnych znajomych. Zdaje się, że radość, jakiej doznaje człowiek do społeczeństwa stworzony, widząc swych bliźnich, udziela się i zwierzętom, przeznaczonym do przebywania z nim. Niełatwo było przenieść jenerała aż do jego kwatery. Ścieżka na skałę prowadząca była licznemi utrudniona głazami. Przebyliśmy ją jednak. Zastaliśmy obie rodziny usadowione w dwóch domach, które mogły także i przybywających podróżnych pomieścić. W jednym z tych domów my się rozkwaterowali, w drugim oficerowie szwedzcy i nasi aniołowie stróże. Gdy przyspasabiano nam wieczerzę, gospodyni przygotowywała także swoją, składającą się z mięsa młodego psa morskiego, który to przysmak pożywać miał jej mąż i trzy córki Zaproszono mnie na niego, lecz nie odważyłem się na ten specjał i tylko w rozmowie udział przyjąłem zapomocą naszego tłómacza, pana Karpeen. Ponieważ skała zupełnie jałowa, więc ci włościanie żywią się zbożem, dostarczanem przez rząd. Rybołostwo, handel skórami i to, co od podróżnych zyskują, zapewnia im zaspokojenie innych potrzeb. Próbowali, czyli używając zamiast ziemi suszonych roślin morskich i sadząc na nich kartofle, nie doszliby do rozmnożenia tej dobroczynnej rośliny, lecz skutek nie odpowiedział staraniom. Nigdy ananasy tyle pracy nie kosztowały, ile ich kartofle. Mimo to zdaje się, iż się dobrze mają, zyskują wiele na podróżnych, którzy wstrzymani niekiedy zostają przeciwnemi wiatrami przez całe tygodnie i miesiące. Konsul duński Polin i dwaj kupcy moskiewscy kawioru przez dni jedenaście siedzieli tam na pokucie i tylko w wigilię naszego przybycia opuścili Singlekars. Spotkaliśmy byli konsula niedaleko Abo; był to młody człowiek, bardzo przystojny, lecz niezmiernie nałogowy. Zatrzymany w Singlekars, miał i dość czasu i znalazł towarzystwo, które go zachęciło do do-

godzenia swojej nieszczęśliwej skłonności. Opowiadali nam nasi gospodarze, że ci panowie szczególniejszą między sobą zawarli umowę. Moskale dostarczali Duńczykowi kawioru tyle, ile mógł zjeść, a nawzajem Duńczyk miał im tyle wódki użyczyć, ileby tylko wypić mogli. W ciągle kłótnie wyrodził się ten układ. Raz co tylko do krwawych scen nie przyszło. Jeden z Moskali odezwał się do konsula z żartem, który uważał jako bardzo zabawny i dowcipny. Duńczyk obraził się nim i uchwycił swoje pistolety. Moskal uciec chciał przez okno, lecz okna były zalepione, pozabijane. Błyska strzał, kula leci, tłucze okno i trafia w skałę pobliską. Ludność Singlekars, to jest obadwaj włościanie, żony ich i dzieci, zbiegają się, rozdzielają zapaśników i dopiero strumienie gorzałki zdołały ogień ich gniewu zalać i zagasić. Słowem, w przeciągu jedenastu dni pobytu na tej wyspie wysuszyli sześć baryłek wódki; nie mogliśmy ani kropli znaleźć dla uraczenia naszych majtków. Ranek następujący przyniósł wiatr i deszcz, marynarze twierdzili, że płynąć nie można, przeciez naszem naleganiem zmuszeni, wypłynęli. Ruszyliśmy o dziewiątej. Wiatr był silny, morze wzburzone, bałwany piętrzyły się i obryzgiwały nas słoną wodą. Przez trzy godziny bardzośmy umęczeni byli, a nawet niebezpieczeństwem zagrożeni. Trzeba było wykręcać się około Singlekars i wysp przyległych, nie tracąc ich nigdy z oka. Lecz najwięcej zastraszającemi były ogromne bryły lodu, które morze pchało ku naszej szalupie i które z trudnością omijaliśmy. Czasem tuż przepływaliśmy koło takiej góry lodowej, że, gdybyśmy byli uderzyli o nią, statek nasz byłby się na tysiąc części rozstrzaskał. Wszystkie nasze obroty odbywały się za wspólną zgodą, nie było tam ani kapitana statku, ani przełożonego, wszyscy byli równi, dopiero gdy niebezpieczeństwo groźniejszem się stało, wybrano na dyktatora starego majtka, który, zarząd objąwszy, tak się zręcznie uwijał, wykręcał, żeśmy nakoniec na pełne morze dostali się i że o trzeciej ujrzeliśmy wieżę telegrafu w Griselhamm. Wiatr spadł, uspokoiły się bałwany, mieliśmy już tylko do walczenia z lodami i o piątej przybyliśmy do Griselhamm, zmęczeni, zmoczeni do nitki. Dziwić się należy, że w tem miejscu, dokąd przybijają wszystkie okręty, z Finlandji płynące, nie wzniosła się choć jaka mała mieścina. Mała ludność, nieczęste związki między dwoma lądami są zapewne tego przyczyną. Jest tu jednakże bardzo dobra oberża murowana. Znaleźliśmy w niej dobre łóżka, dobry ogień i dobrą wieczerzę; bardzo pożądane po tylu trudach, które przecież nie zdołały pohamować niecierpliwości jenerała. Musieliśmy w nocy z szalupy na ląd wynieść wszystkie nasze tłumoki, prze-

łożyć je na pięć małych sanek, posłać po konie, czekać trzy godziny, porwać zaprzęgi, połamać dyszle i zgłodniali i przeziębli, byliśmy przymuszeni w dalszą puścić się drogę aż do najbliższej stacji. Wyznać trzeba, że w tym razie karawana ruszyła szemrząc i z wielką niechęcią, szczęściem czas był łagodny, droga dobra, a księżyc w pełni oświecał ogromne jeziora, małe gaiki i wioski gęściej rozsypane jak w Finlandji. O dziesiątej przybyliśmy do pierwszej stacji. Weszliśmy do wiejskiej chaty, była obszerna, lecz nie tak czysta jak domy finlandzkie. Młoda para zajmowała ją, gospodarz i ładna jego żona dopiero co byli zjedli wieczerzę i rozmawiają z sobą przy wielkiem ognisku, które służyło za ogień kominkowy, kuchenny i za światło pająka. Wieczerzaliśmy tam i przenocowali. Nazajutrz nasz gospodarz, gospodyni i dwóch czy trzech ich przyjaciół weszło do naszej izby w chwili, w której naszą kawą zajęci byliśmy. Bardzo zdawali się ciekawi jej smaku, zaprosiliśmy ich na śniadanie, bardzo byli wdzięczni, wdali się z nami w rozmowę i powierzyli nam jeden z projektów, który stan włościan ułożył sobie przeprowadzić przez sejm przyszły. »Sposób, — mówili oni — w jaki urządzone są poczty u nas, jest równie niesprawiedliwy, jak uciążliwy dla rolników, niszczy ich konie, naraża ich na wielką stratę czasu, a mało bardzo zysku im przynosi. Czemu u nas nie mają być poczty tak urządzone, jak w innych krajach? Czemu rząd nie ustanawia pocztmistrzów, którychby obowiązkiem było utrzymywać konie i dostarczać ich podróżnym? To prawo musi przejść, nie odstąpimy od tego«. Kraj, w którym włościanie tak śmiało rozprawiają, nie postradał wspomnienia swojej wolności i bliski jest jej odzyskania. Liczą tylko jedenaście mil z Griselhamm do Sztokholmu, przebyliśmy je w dwóch dniach. Kraj zdawał się weselszy i mniej dziki jak w Finlandji. Nie było już tam wąskiej drogi, wśród skał przeprowadzonej, lecz gościniec przerzynający płaszczyzny, rozweselone jeziorami, rozlewającemi się u stóp gór, po większej części urodzajnych. Tu dopiero spotkałem się z dębami i z jaworami. Wsie były gęstsze, dostrzec można było więcej dostatku i dobrego smaku w bostelach i w domach prywatnych. Jednakże na tej drodze, od brzegów morza do stolicy, nie przejeżdżasz ani przez jedno miasto lub miasteczko.

Zostawiłem jenerała na ostatniej stacji, a sam w małych saneczkach pospieszyłem do Sztokholmu, aby przygotować dla niego mieszkanie i opatrzeć jego wszystkie wygody. Przejeżdżałem obok Ulrichstal, zamku do królowej wdowy należącego, wznoszącego się na brzegu jeziora. Wkoło niego rozciąga się piękny ogród

i z wszystkich stron wabią urocze widoki. Dalej wśród skał okrytych jodłami i sosnami, na brzegu przejrzystej wody, uderzył oko moje śliczny pałacyk, zalecający się równie prostotą jak dobrym smakiem i wytwornością. Było to mieszkanie wiejskie Gustawa III, nazwane Haga. Stamtąd krok postąpisz, a już jesteś w mieście. Łatwo było znaleźć oberżę, do której mieliśmy wysiąść, gdyż jedna jest tylko w mieście całem zaopatrzona w to wszystko, czego podróżny potrzebować może. Właścicielem jej jest pan Robinot, znany z swej postawy siedm stóp wysokości mającej, z swoich zezowatych oczu i z garnituru rubinów, któremi ozdobił swój nos i policzki. Właśnie się był kazał odmalować i tę minjaturę jego widziałem potem na wystawie akademji malarstwa. Mówią, że jest bardzo bogaty; wierzę temu, miarkując po niemiłosiernem obdzieraniu ze skóry podróżnych, które stało się jego zwyczajem. Za obiad z czterech potraw złożony zapłaciliśmy po rixdalerze od osoby, za dwa półmiski na wieczerzę policzył pół rixdalera, a 14 rixdalerów na tydzień za samo mieszkanie. W ogólności życie wiele bardzo w Sztokholmie kosztuje i w całej Szwecji; mniemam, że przypisać to należy brakowi gotówki i wielkiej mnogości asygnatów, zwanych Ricksgeld, których za 30 miljonów wypuszczono w obieg podczas ostatniej wojny i po jej ukończeniu. Na tych asygnatach traciło się do 25 na sto; mówią, że Gustaw III fałszować kazał tę papierową monetę i że użył do tego barona Monck, który swoje przywiązanie do króla do tego stopnia posuwał, że się podjął tego oszustwa występnego, tak niezgodnego z jego prawością i uczuciem honoru. Dziś o dziesięć procent stoją te asygnaty niżej od nominalnej wartości i być może, iż z czasem, gdy ład i oszczędność, jakie król stara się zaprowadzić, ustalą się, papiery te coraz więcej wzbudzać będą ufności. Kasa ich i fabrykacja zostaje pod dozorem deputacji z czterech stanów państwa wybranej, lecz nie znają one innej hipoteki jak tylko wiarę publiczną. Jest tu jeszcze inna moneta papierowa, nazwana Banquogeld, która bardzo dobry ma kurs. Bo gdy Ricksgeld niema kasy, któraby ją na gotówkę wymieniała, za Banquogeld, zaniesione do banku sztokholmskiego można zawsze otrzymać złoto lub srebro podług woli okaziciela. Tych papierów używają szczególniej kupcy.

Tego samego wieczora odwiedziłem biednego Potockiego [1], starostę tłumackiego, byłego naszego posła do dworu szwedzkiego. Zdawać się może, iż, reprezentując dawniej nasz kraj z większą

---

[1]) *Potocki* Antoni Protazy, znany pod imieniem Prota, gorliwy patrjota i działacz społeczny na polu przemysłowo-handlowem.

wspaniałością, aniżeli dozwalał stan jego majątku, wyobraża on jeszcze nieszczęśliwy stan naszej ojczyzny swoją nędzą i poniżeniem. Z rozdartem sercem ujrzałem go. Tyle bolesnych wspomnień stanęło mi na smutnej myśli. Ponieważ przybycie jenerała wiele hałasu w mieście narobiło, wyprawiłem do niego posłańca z radą, aby dopiero nocną porą przybył. Cała zaś karawana, złożona z pięciu sanek, ob'adowanych kuframi i tłumokami, w pół godziny po nim nadjechała. Nie wiele powiem o Sztokholmie i o naszym tamże pobycie. W szczęśliwszych czasach byłbym się starał dogodzić wrodzonej mi ciekawości, oglądając wszystko, co godne widzenia, lecz temu, co ojczyznę stracił, wszystko obojętnem się staje. Król szwedzki oświadczył chęć widzenia nas, lecz przedstawiając się u dworu, albo bylibyśmy obrazili dumę naszych panów, albo bylibyśmy się musieli poddać etykiecie upokarzającej nas. Chcieliśmy i jednego i drugiego uniknąć: nie byliśmy u dworu, a tym sposobem uwolniliśmy się od obowiązku przebywania w wielkim świecie stolicy szwedzkiej.

Uzupełnienie.

Już po oddaniu tej pracy do druku, udało mi się dotrzeć do *Pism* Juljana Klaczki z lat 1849–1851, zebranych przez Dr. Erzepskiego, a niedawno wydanych przez księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu. Zwrócił mi na nie uwagę, wiedząc, że pracuję nad historją legendy maciejowickiej, prof. Ign. Chrzanowski, więc mu za tę koleżeńską przysługę wyrażam tutaj najszczerszą wdzięczność. Wprawdzie po przejrzeniu tych *Pism* przekonałem się, że szczegóły w nich zawarte, a dotyczące legendy maciejowickiej w niczem nie wpływają na ostateczne rezultaty niniejszej pracy, wszakże niektóre z nich, jako uzupełniające historję legendy i apokryfu, godne są tego, aby je tu dodatkowo zanotować.

A więc naprzód dowiadujemy się z tych *Pism,* że Klaczko równie bezwzględnie uwierzył w apokryficzne pismo Kościuszki, jak i Michelet, którego *Légende de Kosciuszko* przełożył na wspaniałą polszczyznę. Powtóre, że artykuł pana John Lemoinne w *Journal des Débats,* który pobudził Leonarda Chodźkę do skomponowania apokryfu, był poświęcony ocenie studjów historycznych p. Alexis de Saint-Priest nad dyplomacją XVIII w., które obejmowały i epokę rozbioru Polski. Hr. de Saint Priest, który na połowę był Francuzem, a na połowę Rosjaninem, (syn emigranta francuskiego, urodził się w Petersburgu, wychowywał w Odesie, był potem członkiem Izby parów

we Francji, ale umarł w Moskwie, matką jego była księżniczka Galicyn, a i żona, jak utrzymuje Klaczko, była »Moskiewką«, ojciec zaś ongi jednym z gubernatorów w Rosji), hr. Alexis de Saint-Priest traktował rozbiór Polski nie jako zbrodnię polityczną, ale jako konieczność historyczną, a p. John Lemoinne, na połowę Francuz, a na drugą połowę Anglik, wysoko podnosił i zachwalał w *Débatach* te poglądy de Saint-Priesta.

Oto co pisał o tem Klaczko w Nr. 114 paryskiego *Gońca Polskiego* z dn. 14 listopada 1850. »P. John Lemoinne szczególniej nie taił się z tem zdaniem, że pan Alexis de Saint-Priest dziełem swem ..... oddał Francji przysługę, bo ją radykalnie od wszelkiej słabostki dla Polski wyleczył i z pewną tygrysią rozkoszą powtórzył J. Lemoinne kilka razy jedyną może anekdotę, którą wie z historji polskiej, anekdotę o „*Finis Poloniae*“.

Dowiadujemy się wreszcie z tego samego artykułu Klaczki, że jeszcze przed wystąpieniem Chodźki z apokryfem, kto inny i w inny sposób starał się odeprzeć krzywdzące Polskę i Kościuszkę twierdzenie p. Lemoinne. »P. Tytus Działyński — pisze Klaczko — obywatel wielkopolski, bawiący chwilowo w Paryżu, odpisał w *Débatach* na te nielitościwe i nierozsądne frazesa pana Lemoinne«, ale redaktor dziennika »poddał odpowiedź p. Działyńskiego ostrej cenzurze i obciętej, pokaleczonej dopiero udzielił skromnego miejsca w swoim dzienniku«. Wszakże ukazała się ona w całości w tymże samym 114 numerze *Gońca Polskieyo*, a w niej znajdujemy szlachetne, proste, pełne godności zaprzeczenie tendencyjnej legendy maciejowickiej: »Nieprawdziwem jest twierdzenie, aby Kościuszko miał wyrzec słowa: *Finis Poloniae.* Nie wyrzekł on nigdy słów, którychby żaden Polak nie powtórzył«.

Zacnemu mecenasowi nauki polskiej wystarczało zupełnie to męskie odparcie i zapewne ani na myśl mu nie

przyszło, aby w obronie prawdy uciekać się do kłamstwa i fałszerstwa. Ale Leonard Chodźko był człowiekiem zupełnie innego typu moralnego i dla obalenia legendy pośpieszył zaraz z apokryfem.

Wreszcie jeszcze jedno uzupełnienie albo raczej uzupełniające przypuszczenie, które już nie jest wysnute z nowowydanych pism Klaczki, ale wywołane bardzo zajmującym odczytem p. Adama Wolańskiego o regaljach polskich, w tych dniach (w początkach października 1920) wygłoszonym w Krakowie. Nie dotyczy ono wprost legendy maciejowickiej, choć zostaje z nią w pewnym związku, ale innej, bardzo rozpowszechnionej w Polsce legendy o tem, że korona i inne insygnja królewskie, złożone w skarbcu koronnym w Krakowie, nie zostały zabrane i uwiezione przez Prusaków po zajęciu przez nich Krakowa w r. 1794, ale usunięte wczas przez jakichś nieznanych patrjotów, którzy je przechowywali w jakiemś nieznanem miejscu i przekazali obowiązek ich przechowywania innym, wybranym przez siebie stróżom tych skarbów. Ci zaś spełniony przez siebie obowiązek mieli potem przekazywać innym, aż póki Polska nie odzyska niepodległości.

Według wiadomości, zebranych przez p. A. Wolańskiego, legenda ta poraz pierwszy ukazuje się na widok publiczny w dwu książeczkach, wydanych współcześnie w r. 1859, a mianowicie w Lelewela *Lotnikach piśmiennictwa tułaczki polskiej* (Bruksella) i w *Żywotach narodowych z ostatnich lat stu.* (Usque ad finem) Leonarda Chodźki. (Paryż.) U Lelewela w artykule p. t.: *Korona Polski i jej królewskość* (str. 139) po dłuższym opisie kolei, przez które przechodziła korona Bolesława Chrobrego od czasów tego pierwszego króla, który się koronował, aż do ostatniego, czytamy co następuje: »Co się stało w chwili zamieszania i niedoli z szanownym pomnikiem chwały i poniżenia, z tą starą koroną Bolesława,

która przeżyła ośm wieków i gdzie się ona podziała? na to odpowiedzieć nie umiem. Jeden z pomiędzy rabusi rzeczypospolitej, to jest król pruski, zagarnął skarbiec krakowski, gdzie wszystkie korony i znaki królewskości narodowej były zachowane. Wieść głucha chciała pocieszyć strapione uczucia narodu, zapewniając, iż patrjotyczne ręce w chwili kradzieży skarbca zdołały unieść jednę tylko koronę Bolesława, jako szanowne palladium Polski i złożyły ją w miejsce bezpieczne, pod straż ludzi wiernych swej ojczyźnie. Jednakowoż po odzyskaniu Moskwy, po wojnie Aleksandra z Napoleonem, niektóre dzienniki wymieniły pomiędzy zdobyczami, złożonemi przez cara w Moskwie, koronę Bolesława. Nikt jej nie widział w Berlinie, a w czasie podbojów Napoleona nikt nie myślał jej szukać, ani w Prusach, ani w Rosji. Niechaj spokojnie spoczywa tam, gdzie ją los zaniósł. Od lat 40 przeszło naród o niej zupełnie zapomniał i może się na zawsze bez niej obejść«.

Tak pisał Lelewel o legendzie, ograniczając ją do tajnego przechowywania przez patrjotów tylko korony Chrobrego. Historyk, rozumiejący dawne znaczenie tego znaku królewskości dla Polski, ale republikanin z przekonań, a przedewszystkiem zacięty przeciwnik tego stronnictwa emigracyjnego, które tytuł królewski *in partibus infidelium* rewindykowało dla ks. Adama Czartoryskiego, z pobłażającem lekceważeniem traktował »głuchą wieść« o koronie, której utajonemu istnieniu nie przypisywał w danych warunkach większego narodowego znaczenia.

Inaczej pojął i przedstawił »głuchą wieść« Leonard Chodźko. Czy on tę wieść zaczerpnął dopiero z książeczki Lelewela, co jest możliwe, czy też znał ją jeszcze przedtem, to rzecz drugorzędna, dość, że podał ją w sposób, który na wyobraźnię czytelnika zdolny był

działać zupełnie inaczej, niżeli sceptyczny ton Lelewela. We wspomnianych już *Żywotach narodowych*, mianowicie w żywocie Tadeusza Kościuszki (str. 27), mówiąc, jak po bitwie pod Szczekocinami Prusacy zajęli Kraków, nie spotkawszy oporu ze strony dowódzców garnizonu, dodał tę krótką, ale brzemienną wrażeniem, jakie mogła wywierać na czytelniku, uwagę: »Wszakże korony i berła polskie zostały ocalone ze skarbca zamkowego i nie ukażą się aż przy zupełnej niepodległości Polski!...«

Lelewel mówił o jednej koronie, Chodźko — o »koronach i berłach polskich«; Lelewel traktował legendę jako »wieść głuchą«, która »chciała pocieszyć strapione uczucia narodu«, odmawiał jej zatem wszelkiej podstawy realnej, historycznej, Chodźko mówił o ocaleniu regaljów polskich, jako o rzeczy pewnej, niewzruszonej, mówił jak człowiek, który wie wszystko dokładnie, tylko z konieczności zachowywania tajemnicy w żadne szczegóły wchodzić nie może, i otwierał przed fantazją patrjotycznego czytelnika nieskończone pole ponętnych domysłów. To też ojcem legendy o tajemniczem przechowywaniu skarbca koronnego, jak się ona kształtowała i rozwijała od tego czasu aż do obecnej chwili przez lat z górą sześćdziesiąt, nie Lelewel był, ale Leonard Chodźko. Widocznie tworzenie legend i apokryfów było jego specjalnością.

Ale traktując twierdzenie Chodźki o koronach i berłach polskich jako wymysł legendowy, nie rozwiązujemy jeszcze przez to zagadki, dotyczącej zniknięcia regaljów polskich. Cóż się z niemi stało? Gdzie się podziały? Zniknęły po ustąpieniu Prusaków z Krakowa, ale w Berlinie ich nie widać i sfery rządowe pruskie nigdy nie przyznawały się do ich zabrania. Więc może oficerowie pruscy przed opuszczeniem Krakowa na własną rękę, w tajemnicy przed własnym rządem, dopuścili się grabieży? Ale hipoteza

taka, wobec surowej dyscypliny, jaką się wojsko pruskie odznaczało, mało jest prawdopodobną. Natomiast dużo ma prawdopodobieństwa inna hipoteza, zostająca w ścisłym związku z legendą maciejowicką, mianowicie, że rząd pruski, zagrabiwszy regalja, a nie przyznając się do grabieży, zniszczył je, zniszczył dlatego, że bał się, aby wystawiane gdziekolwiek i kiedykolwiek na widok publiczny, nie budziły w sercach Polaków patrjotycznych wspomnień i tęsknot do utraconej niepodległości. Ta sama myśl, która mu przewodniczyła przy wytworzeniu i rozpowszechnianiu legendy o *Finis Poloniae*, mogła być główną pobudką i tego niszczycielskiego czynu. Jak tam chodziło o działanie na wyobraźnię Polaków w kierunku pogodzenia ich z utratą niepodległości, tak tu chodziło o usunięcie na zawsze z przed ich oczu tego, co na ich dusze mogło działać w kierunku przeciwnym.

Takiem jest, sądzę, najbliższe prawdy przypuszczenie, rozwiązujące zagadkę zniknięcia skarbca koronnego. Dziś, kiedy burza wojenna, wstrząsająca całym światem, rozwaliła gmach niewoli, w którym Polskę trzy potęgi rozbiorowe zamknęły i kiedy z gruzów tego gmachu wychodzi ona wolna, żywa i niepodległa, choć jeszcze za wielu opiekunów mająca, którzy ani jej dziejów, ani jej potrzeb nie rozumieją, — dziś, sądzę, naczasie jest przypatrzeć się tym dwom legendom, które się wzajem uzupełniają.

ERRATA:

Str. 35 w. 10 z dołu *zamiast* »nie do, niego« *czytaj* »nie do niego«.

Str 38 w. 9 z dołu *zamiast* »bravement avec bravoure« *czytaj tylko* »avec bravoure«.

Str. 47 *zamiast* ustępu od słów: »aż do upadku powstania« (w. 5—6 z góry) do słów: »opuścić Warszawę« (w. 7—8 z góry) *należy czytać* »ale gdy w lipcu 1831 r. wysłano go w misji dyplomatycznej za granicę, skąd już nigdy nie miał wrocić do kraju«.

Str. 89 w. 3 z góry *zamiast* »Erzepskiego« *czytaj* »Erzepkiego«.

SPIS TREŚCI:

Z HISTORJI I LITERATURY

Krakowska Spółka Wydawnicza rozpoczęła pod powyższym tytułem wydawnictwo całej serji rozpraw z dziedziny historji politycznej, kulturalnej i literackiej. Rozprawy te poświęcone ciekawym zagadnieniom naszej przeszłości a ujęte w formę wykwintną, stanowią zajmującą a pożyteczną lekturę dla szerokich kół inteligencji.

Dotąd ukazały się następujące rozprawy:

1. *Sinko Tadeusz:* Wyspiański i Krasiński. Rozwiązanie zagadek „Legjonu" i „Wyzwolenia".
2. *Zdziechowski Marjan:* Gloryfikacja pracy. Myśli z pism i o pismach Stanisława Brzozowskiego.
3. *Tretiak Józef:* Finis Poloniae. Historja Legendy Maciejowickiej i jej rozwiązanie.

(Dalsze rozprawy w przygotowaniu).

Ponadto Krakowska Spółka Wydawnicza poleca wydawnictwa własne:

Kot Stanisław: Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej Zachodu.
Tretiak Józef: Historja wojny chocimskiej (1621). Wyd. nowe z 9 ilustr.
Wskrzeszenie państwa polskiego. Szkic historyczny. T. I 1914—1918.
Zdziechowski Marjan: Wpływy rosyjskie na duszę polską.

WYDAWNICTWA

NABYTE W WIĘKSZEJ ILOŚCI LUB OTRZYMANE NA SKŁAD GŁÓWNY:

Bartoszewicz Kazimierz: Utworzenie Królestwa Kongresowego.
Janik Michał: Hugo Kołłątaj, monografja.
Nabielak Ludwik: Tadeusz Kościuszko. Jego odezwy i raporty.
Smolka Stanisław: Die russische Welt.
„ „ L'Europe et la Pologne.
„ „ Les Ruthénes.
Tokarz Wacław: Armia Królestwa polskiego (1815—1830).
„ „ Żołnierze kościuszkowscy, z ilustracjami.
Windakiewicz Stanisław: Walter Scott i Lord Byron w odniesieniu do polskiej poezji romantycanej.
Zdziechowski Marjan: Pessymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa 2 tomy.

Do nabycia w Krakowskiej Spółce Wydawniczej (Kraków, św. Filipa 25) i w księgarniach